Uniwersytet Gdański Biblioteka
cW 9013

Cena 10 zł.

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III | Warszawa, 9 marca 1947 r. | Nr 10 (67)

TREŚĆ NUMERU: A. Micewski — Głos młodzieży, Poseł Dr. Frankowski o amnestii, Nik Rostworowski — List do przyjaciela, St. Rembek — Wyrok na Franciszka Kłosa, J. Sawicki — Problem zbrodniczego ustroju i nowy typ zbrodniarza, dh — Zagadnienia i poglądy, J. Olechowski — Za tamtą górą..., „Autoreklama".

Witold Bieńkowski

PO PIERWSZEJ SESJI PARLAMENTU

Nie jest rzeczą łatwą omówić zamkniętą już nadzwyczajną i inauguracyjną sesję Parlamentu z punktu widzenia interesów katolickich. Wybór Prezydenta, uchwalone ustawy: konstytucyjna i amnestyjna oraz ustosunkowanie się do nowego Rządu—nie mogły dać żadnych wyraźnych i bezpośrednich osiągnięć, które by wyprowadzały na plan pierwszy interesy katolickie, a tym samym stworzyły atuty, „paszporty", czy „legitymacje" trzem niezależnym posłom katolickim w Sejmie, na których prace i wystąpienia społeczeństwo katolickie patrzy i czeka. Jak patrzy — życzliwie czy złośliwie — nie należy do rzeczy. Jest ważnym, że patrzy i czeka.

W postawie oczekującego obserwatora tworzą się zwykle skomplikowane procesy. Jednym z głównych czynników tych procesów jest nieufność. A drugim: stałe przesuwanie górnej granicy żądań, nadziei, czy „spodziewań się", zależnie od tego, czy obiekt obserwowany „sypnie się" od razu, czy też nie daje przez długi czas, a może i permanentnie, podstaw do okrzyku: „a nie mówiłem?".

Żarty na bok. Nie oceniam ogółu społeczeństwa katolickiego, jako nieżyczliwego obserwatora prac i wysiłków niezależnych posłów katolickich w Sejmie. Chodzi mi po prostu o stwierdzenie, że niesłuszną i błędną byłaby każda ocena roli niezależnych posłów katolickich w Sejmie, jeśliby w tej ocenie zabrakło umiaru, wynikającego z właściwego zrozumienia sytuacji i możliwości tych posłów.

Bo proszę: — sytuacja i możliwości posłów, składających się na Katolicko-Społeczny Klub Poselski w Sejmie, są ograniczone przede wszystkim faktem, że nie reprezentują oni w Sejmie ogółu społeczeństwa katolickiego, że żadne ich wystąpienie, żaden postulat nie może być podparty powagą zorganizowanego społeczeństwa katolickiego w Polsce. Że w każdym swoim wystąpieniu dysponują własnym przeświadczeniem o słuszności zajętego stanowiska, a jedyną wagą, jaką mogą złożyć na szali spraw, jest świadomie przyjęta osobista odpowiedzialność. Poza posłami Katolicko-Społecznego Klubu Poselskiego stoi co prawda środowisko ideowe o określonej postawie społecznej i politycznej — nie posiada ono jednak do tej pory ram organizacyjnych, nie dysponuje oficjalnym poparciem Hierarchii Kościoła, a w swoich pionierskich wysiłkach jest skazane, jak każdy pionier, na przekopywanie trasy, wytyczonej nie przez siebie, ale przez całość interesów katolickich.

Podczas debaty nad pełnomocnictwami dla Rządu, gdy poseł Aleksander Bocheński mówił o tym, że na stanowisko zajęte przez niezależnych posłów katolickich patrzy całe społeczeństwo katolickie w Polsce — poseł Wojewoda Brzeziński ze Stronnictwa Pracy krzyknął: „a kto wam dał monopol?". W okrzyku tym zamknąć można bez reszty właściwą sytuację i możliwości posłów z Katolicko-Społecznego Klubu Poselskiego. Można bowiem określić, że w uczciwym zrozumieniu sprawy każdy z nas widzi przyjętą odpowiedzialność za sprawy i interesy katolickie, oraz że każdy z nas boryka się z niemożnością udzielenia jakiejkolwiek odpowiedzi okrzykom typu zastrzeżeń przyjaciół ministra Widy-Wirskiego.

Pełny osąd sprawy już nie do nas należy. Sytuację rozumieją w pełni nasi coraz liczniejsi przyjaciele.

*

Jest oczywiste, że cały poprzedni ustęp nie posiada charakteru „żalenia się". Jest raczej stwierdzeniem prostych faktów, za którymi kryje się usprawiedliwianie nie zrobienia czegoś, lub zrobienia coś źle. Per analogiam możnaby pokusić się o odtworzenie przyczyn sytuacji, która tak, jak podczas wojny, specjalnie ustawia w stosunku do polityki odcinek katolicki.

Obecni działacze katoliccy z obozu, do którego należy i środowisko „Dziś i Jutro", mają za sobą bogatą przeszłość walk konspiracyjnych podczas okupacji. Wśród tych działaczy znajdują się i tacy, którzy mieli możność uczestniczenia w wyraźnie katolickich tajnych organizacjach.

Nikt do tej pory nie skreślił obrazu katolickiego ruchu oporu w Polsce. Nikt nie wydobył na jaw wkładu do ogólnopolskiej walki z okupantem szeregu działaczy katolickich, pracujących już wtedy na własne ryzyko i własną odpowiedzialność. Nikt nie wykazał walorów tej specjalnej szkoły, która wychowała nie małe kadry katolików o postawie czynnej, gotowych do odpowiedzialnego wkładu swej pracy w interesy katolickie, zespolone z interesami polskimi. Szkoła ta dała swój typ Katolika-bojowca. Szkoła ta, przez realizowanie zasady wszechobecności katolików we wszystkich dziedzinach i na wszystkich odcinkach życia społecznego i politycznego stworzyła nowy typ społecznika katolickiego, dla którego przede wszystkim istnieje sprawa, a dopiero potem powiązania i sytuacje polityczne.

Jest to dosyć ważne, jeśli można stwierdzić, że trzej posłowie z Katolicko-Społecznego Klubu Poselskiego posiadają z wieloma innymi posłami powiązania głębsze, niż kuluarowa znajomość. Posiadają wspólne zrozumienie spraw ponadpolitycznych, o które czasu wojny wspólnie walczyć musieli.

I stąd sytuacja dość dziwna. Maleńki klub poselski niezależnych katolików w Sejmie posiada swą wagę. Ma stosunkowo dość dużą możność pracy i faktycznego wpływu na bieg spraw ustawodawczych właśnie dlatego, że akcentuje swe specjalne walory patrzenia przede wszystkim na rzecz, a dopiero potem na powiązania i akcenty polityczne. Dla czystej walki o słuszność sprawy nie istnieją, bo istnieć nie mogą, przeszkody kulis politycznych. I tylko w takiej walce posłowie-katolicy mogą w sposób zadawalniający zdać egzamin w sytuacji, w której, poza własnym przekonaniem i poza przyjętą przez siebie odpowiedzialnością, nie rozporządzają innymi atutami.

*

Polityczna strona zagadnienia należy do środowiska społeczno-katolickiego, które Katolicko-Społeczny Klub Poselski w Sejmie reprezentuje. I tutaj musi być zrozumiałe, że środowisko dążące do upowszechnienia swej postawy ideowo-społecznej, do stworzenia ram organizacyjnych dla ruchu powstałego przed przeszło rokiem — głęboko i zasadniczo wpływa na postawę posłów z Katolicko-Społecznego Klubu Poselskiego.

„Dzikość" list, z których wyszli trzej niezależni posłowie-katolicy, skończyła się z chwilą powstania Katolicko-Społecznego Klubu Poselskiego. Dyrektywy ze strony kierownictwa Ruchu dla posłów Klubu są tego samego typu, co akcentowana od półtora roku czynna postawa Ruchu w stosunku do społecznej i politycznej rzeczywistości. Współpraca na odcinku służby narodowi i walka, choćby najostrzejsza, o katolickie postulaty moralne i zasady społeczne.

W Sejmie taka postawa znalazła bardzo wyraźne zastosowanie. W debatach nad ustawami: konstytucyjną i amnestyjną ciężar wkładu Katolicko - Społecznego Klubu Poselskiego przeniósł się do odnośnych komisyj sejmowych. Poseł dr. Jan Frankowski, występujący w komisjach z ramienia Klubu, w dużym stopniu przyczynił się do wniesienia szeregu poprawek, urealniających postulaty Ruchu i Klubu Poselskiego. Poza formułą głosowania naszego Klubu kryła się praca i faktyczny wpływ na wychodzące na plenum projekty ustaw.

Nie o sprawozdanie prasowe z sesji Parlamentu tu chodzi. Nie o wykazywanie osiągnięć, które, zależnie od oceny, mogą być przyjęte lub kwestinowane. Chodzi tu przede wszystkim o wyraźne podkreślenie konsekwentnej linii działania, znanej nie od dziś i nie od czasu ukonstytuowania się Sejmu Ustawodawczego Rzeczypospolitej. Chodzi o sformułowanie i o zamknięcie w realnych ramach tego wszystkiego, czego ktokolwiek i kiedykolwiek spodziewa się od działalności niezależnych posłów-katolików w Sejmie.

*

Przyznajemy otwarcie, że zawiedliśmy zaufanie pewnych kół społeczeństwa, które sądziły, że uczynimy Sejm terenem naszej demonstracji. Warto uprzedzić i odpowiedzieć z góry na te, formułowane już niekiedy zarzuty, jakoby nasza opozycyjność wyrażała się w sprawach małej wagi, a współpraca z partiami zblokowanymi we wszystkich ważniejszych problemach.

O co chodzi? O jakie sprawy małe i o jakie ważne problemy? Czy o ustawę konstytucyjną i amnestyjną, w których, po uzgodnieniu projektów ustaw na komisjach i po przeprowadzeniu szeregu poprawek, głosowaliśmy wspólnie z partiami zblokowanymi? Czy o votum zaufania dla Rządu i o ustawę o pełnomocnictwach dla Rządu, kiedy wstrzymaliśmy się od głosowania? Czy o głosowanie za wnioskiem posła Żuławskiego o niekreślenie przemówień sejmowych, kiedy głosowaliśmy wbrew stanowisku zajętemu przez partie zblokowane?

Rzecz wymaga nie tyle wyjaśnienia, ile porozumienia się. Uważamy bowiem, że tak ustawa konstytucyjna, jak amnestyjna, wchodzą w zakres bezpośrednich spraw służby narodowi. W ustawach tego typu nie przez demonstracyjną opozycyjność, ale przez konkretny i faktyczny wkład własnych postulatów można służyć dobrze. Że nie szliśmy do Sejmu, jak ślepi i głusi, po to tylko, aby akcentować własny stały sprzeciw. Że z głębokiej, uczciwej własnej odpowiedzialności, w stałej i konsekwentnej postawie wobec rzeczywistości znajdujemy możność odróżnienia rzeczy realnych od rekwizytów romantyzmu politycznego.

Nie jest natomiast aktem romantyzmu politycznego odmówienie udzielenia na kredyt zaufania Rządowi i nie głosowanie za pełnomocnictwami. Poseł dr. Jan Frankowski w przemówieniu swoim wyraźnie podkreślił przyczyny naszego przy głosowaniu nad tymi ustawami milczenia. Nie znamy Rządu z jego czynów, nie

Wyłyczne

PIJAŃSTWO

Już miesiąc temu dn. 9 lutego odczytany został z ambon list Episkopatu polskiego w sprawie szerzącego się w kraju pijaństwa. Episkopat zabiera głos tylko w sprawach o zasadniczym znaczeniu społecznym. Nałóg pijaństwa stał się sprawą zasadniczą, grozi poważną klęską narodową.

Przed paroma miesiącami Anna Świerszczyńska gruntownie omówiła to zagadnienie na łamach „Odrodzenia". Niestety, nie wywiązała się na ten temat poważna dyskusja, a nawet to samo „Odrodzenie" umieściło kilka niesmacznych dowcipów. Zgadzając się całkowicie z oceną sytuacji i ze środkami zaradczymi, proponowanymi przez p. Świerszczyńską, nie zabieraliśmy głosu, uważając, że sprawę tak poważną trzeba omówić w sposób konkretny w chwili, gdy będzie można swoje dezyderaty przeprowadzić. Rozdzieranie szat na nic się nie zda. Pijak jest otoczony w Polsce powszechną sympatią i życzliwością, a możliwości picia wódki i „bimbru" są ogromne. Nie rozwiążą zagadnienia żadne środki mechaniczne. Koniecznym jest wytworzenie atmosfery niesprzyjającej pijaństwu. Atmosfera ta jednak prędko nie powstanie, dlatego na najbliższej sesji parlamentarnej, poświęconej zagadnieniom budżetowym Klub Poselski Katolicko-Społeczny zgłosi postulaty znacznego ograniczenia w możliwościach konsumpcji. Jak wiadomo Polski Monopol Spirytusowy jest jednym z głównych źródeł dochodu Skarbu Państwa. Dlatego zagadnienie pijaństwa wiąże się ściśle z sesją budżetową.

Zdrowie moralne i fizyczne narodu jest jednak ważniejsze od spraw budżetowych. Włączenie czynników państwowych do walki z alkoholizmem ma też swoje znaczenie. Gdy na tym polu spotkają się czynniki kościelne, społeczne i państwowe, może uda się smutnej i ciągle nie dość poważnie traktowanej klęsce narodowej zapobiec.

W kraju...

NA WOLNOŚĆ...

W UBIEGŁYM tygodniu ukazał się nowy numer Dziennika Ustaw, zawierający tekst Ustawy o amnestii. Z tą chwilą decyzja najwyższych czynników państwowych staje się przedmiotem troski organów wykonawczych. Na zwołanej w dniach 24—25 lutego odprawie szefów sądów i prokuratorów wojskowych ustalono tok postępowania w stosunku do ułaskawionych i wyjaśniono wszelkie trudności interpretacyjne. Formalności winny być załatwiane w jak najszybszym tempie, bramy więzień winny otworzyć jak najrychlej.

Jak donosi prasa, z amnestii skorzysta ok. 45.000 więźniów, z czego ok. 25.000 opuści więzienia natychmiast. Jednocześnie należy się liczyć z masowymi ujawnieniami członków organizacji podziemnych. W sumie dać to powinno niewątpliwie duże odprężenie polityczne i zapewnić państwu dopływ nowych, często bardzo wartościowych sił dla odbudowy kraju. Jest rzeczą niesłychanie ważną, by prasa i społeczeństwo rozpoczęły odpowiednią akcję propagandową za ujawnieniem się podziemia. Bez stworzenia tego rodzaju atmosfery akcja może zatoczyć zbyt wąskie kręgi co było by stratą nie do powetowania.

WAŻNA WIZYTA

PREMIER Cyrankiewicz i min. Hilary Minc bezpośrednio po zamknięciu sesji parlamentarnej udali się do Moskwy, gdzie przyjęci zostali przez najwyższych przedstawicieli władz Związku Radzieckiego i odbyli dłuższą rozmowę z premierem Stalinem. Wydaje się, że wizyta ta może mieć duże znaczenie dla dalszego układu stosunków między obomа zaprzyjaźnionymi narodami. W tych dniach wygasa polsko-sowiecki układ handlowy, a także cały szereg spraw politycznych, zarówno o charakterze ogólnomiędzynarodowym wobec zbliżającej się konferencji moskiewskiej, jak i dotyczących bezpośrednich stosunków między Polską a ZSRR wymaga uregulowania. Rozmowy moskiewskie wiele tych kwestii prawdopodobnie rozwiążą.

CZY TYLKO PLOTKI...

W WARSZAWSKICH kołach urzędniczych panuje duże zaniepokojenie z powodu mających jakoby nastąpić redukcjach urzędników w wielu instytucjach państwowych i samorządowych. Wydaje nam się, że nie są to jedynie plotki. Ekspose premiera Cyrankiewicza ka. że istotnie spodziewać się redukcji aparatu urzędniczego. I choć możemy współczuć poszczególnym jednostkom, które znajdą się w trudniejszej niż dotychczas sytuacji, to przecież posunięcie to uważamy z punktu widzenia ogólnego za słuszne i konieczne. Swój stosunek do zagadnienia zaznaczyliśmy w jednym z tygodni ubiegłych. Nie szkodzi przecież powtórzyć, że wprowadzenie oszczędności i ekonomizacji w pracy aparatu państwowego, będące jednym z zasadniczych naszych postulatów, nie może zwolnionych z posad pozbawić możliwości zarobku i praw, jakie posiadali dotychczas. Nadchodzi czas, gdy i wszystkie inne zawody należy otoczyć równą, a może jeszcze większą troską, jak urzędników.

W ZAMIECIACH I WIDMIE POWODZI

NIE chcemy powtarzać rzeczy znanych z prasy codziennej. W tej więc dziedzinie tylko troska i postulat. — Czy nie zbyt późno władze, a specjalnie ich ośrodki prowincjonalne, zajęły się walką z nieżyczliwą w tym roku przyrodą? Czy urzędnicy wojewódzcy, powiatowi i gminni dadzą sobie radę z niewątpliwie trudnym problemem utrzymania komunikacji, łączności i zapewnienia bezpieczeństwa zagrożonym powodzią. Tym więcej, że społeczeństwo odzwyczaiło się przez ostatni okres wojny od współdziałania z władzami. Z tej troski wynika postulat — należy wykorzystywać realną walkę z trudnościami dla obudzenia ducha solidarności i służby sprawom, które decydują o warunkach życia narodu.

UWAGA SZCZECIN!

Pan, który zgłosił się do współpracy ze „Słowem Powszechnym" proszony o ponowne podanie nazwiska i adresu. Redakcja.

Pani, pisząca pod pseudonimem „Wajdelotka" proszona o skomunikowanie się z sekretariatem „Dziś i Jutro".

zadawalnia nas zapewnienie całkowitej kontynuacji linii rządu poprzedniego, nie oceniamy żadnych słów i żadnych obietnic. Oceniać będziemy dopiero fakty. I tak, jak poseł Aleksander Bocheński w swojej mowie przy debacie nad pełnomocnictwami dla Rządu określił, po raz ostatni wstrzymaliśmy się w tych sprawach od głosowania. W przyszłości głosować będziemy za lub przeciw Rządowi, zależnie od uwzględnienia tych pojęć i tych zasad rządzenia, które, jako katolicy, w Sejmie reprezentujemy.

Wydaje mi się, że właśnie taką postawę można nazwać czynną i można nazwać twórczą. Jestem głęboko przekonany, że właśnie taka postawa jest jedyną możliwą dla posła-katolika, niezależnie od czasów i niezależnie od koniunktur politycznych.

Byłoby trudno postawić ostatnią kropkę w artykule takim, jak powyższy, bez krótkiego choćby zarysowania planu dalszej działalności.

Plan jest bardzo prosty: — linia postępowania ta sama i niezmienna, w pracy jeszcze większa intensywność.

W wybranych przez Sejm komisjach trzej posłowie Katolicko-Społecznego Klubu Poselskiego znajdą możność konkretnego wkładu i, możliwe, przeprowadzenia swych postulatów.

Poseł dr. Jan Frankowski reprezentować będzie Klub w komisjach: Prawniczej, Skarbowo-budżetowej oraz Spółdzielczości, aprowizacji i handlu.

Poseł Aleksander Bocheński w komisjach: Administracji i i bezpieczeństwa, Spraw zagranicznych i Morskiej.

Niżej podpisany w komisjach: Kultury i sztuki, Oświaty, Pracy i opieki oraz Wyznaniowej i narodowościowej.

W pracy nad realizowaniem postulatów katolickich opierać się będziemy na istotnych potrzebach społeczeństwa katolickiego, którego jesteśmy członkami i na którego każdy odruch żywo reagujemy.

Witold Bieńkowski

Andrzej Micewski

GŁOS MŁODZIEŻY

W 2 (8) numerze dwutygodnika „Pokolenie" ukazał się artykuł p. Krzysztofa Gruszczyńskiego p. t. „Przewrót w Monaco". Artykuł zawiera szereg złośliwych insynuacji, z kłamliwą tendencyjnością i zacietrzewieniem, bez kontroli rozumu omawia stosunki na uniwersytetach polskich, krzywdząc przy tym młodzież akademicką i robiąc z wyższych uczelni teren taniego politykierstwa. Słowa mocne, ale p. Gruszczyńskiemu trzeba tak powiedzieć, by zrozumiał, że nie unikamy otwartych wystąpień.

Przechodząc do sprecyzowania zarzutów przeciw artykułowi „Przewrót w Monaco", oświadczam, że należało by właściwie polemizować prawie z każdym zdaniem, napisanym przez p. Gruszczyńskiego, każde prawie bowiem zawiera złośliwość i brak obiektywizmu, obrażający polskiego akademika. Tutaj ograniczę się tylko do omówienia trzech najważniejszych zagadnień:

a) niesprawiedliwe i kłamliwe insynuacje artykułu;

b) postulat nowego programu studiów;

c) problem bezideowości studentów.

Ad a. Pisze p. Gruszczyński w następujący sposób: „Jest grupka takich na każdym uniwersytecie polskim. Grupka prowodyrów. Cieszą się nieraz mirem, siedzą w Bratniakach, w redakcjach powielanych gazetek. Czasem organizują strajk, innym razem dostają kokluszu na konferencjach akademickich. Otwartych wystąpień się boją. Występują w maseczkach". I dalej czytamy: „Dzieje się to w czasie, kiedy działaczy młodzieżowego ruchu demokratycznego nie przyjmuje się na uniwersytet, ponieważ nie ukrywają swego światopoglądu". I dalej znów: „Prawdopodobnie w myśl tej zasady słuchacze wyższych kursów, legitymujący się szlachetniejszą osobowością, otrzymują w Bratniakach lepsze przydziały, niż syn robotnika na wstępnym roku".

Oto zarzuty p. Gruszczyńskiego, zarzuty bardzo poważne, ba, za poważne, by wolno było je pominąć milczeniem.

A więc mówmy najpierw o tych, „co siedzą w Bratniakach, w redakcjach powielanych gazetek". Otóż czy p. Gruszczyński aby się nie zagalopował, czy nie sądzi, że bezinteresowna praca w Bratniaku ma dużą wartość społeczną, że powielane gazetki mają poważne zadanie wpływu, na często zdezorientowaną młodzież, na wyrobienie w niej poczucia wspólnoty akademickiej. Strajk i koklusz na konferencjach akademickich — tych metod walki ideologicznej nie popieramy, ale zwalczanie atmosfery, z której te sporadyczne zresztą fakty powstają, stanowi dotychczas zadanie rozwiązywane z trudem przez cały naród.

A następnie, jakiego to działacza demokratycznego nie przyjęto na uniwersytet, z powodu jego światopoglądu? Istnieją przecież, tak ponoć przez reakcję zwalczane, kursy wstępne. Więc o co chodzi, to chyba bzdura, co pan pisze, Panie Gruszczyński. Albo z tymi gorszymi przydziałami dla słuchaczy kursów wstępnych, to chyba fałsz? Rozdziałem przydziałów na U. W. zajmuje się nie „bratniak", ale Międzywydziałowa Komisja Kwalifikacyjna, którą na prawdę trudno posądzić o reakcyjność. Zresztą prosimy o fakty. Dlaczego nie wnosicie, panowie, zażaleń do Komisji Rewizyjnej Bratniaka? Czy nie są to zarzutu bezpodstawne, wyimaginowane dzięki bujnemu temperamentowi politycznemu?

Ad b. Pisze p. Gruszczyński o nowym programie studiów. I słusznie, postęp nauki, wymogi nowej udoskonalonej organizacji studiów mogą powodować ewolucję i zmiany programów. Ale to nie jest równoznaczne z wprowadzeniem marksizmu, jako „ewangelii" na uniwersytet, jak tego chce p. Gruszczyński, pisząc: „Uniwersytet, gdzie marksizm dotąd nie jest uważany za filozofię, gdzie natomiast bezideowe mętniactwo idzie w paragon ze sklerotycznymi teoriami naukowymi"!

Marksizm jest tylko jednym ze światopoglądów i systemów rozwiązań społecznych, ma on swych zwolenników, ale i wcale poważnych przeciwników. Jako jedna z teorii jest w programie studiów filozoficznych uwzględniany. Monopolu na prawdę i wiedzę napewno panowie nie macie, zaś tytułu do nazywania dorobku polskiej nauki „mętniactwem" tym mniej; macie za to, panowie, a szczególnie p. Gruszczyński, dużo czelności.

Ad c. Trzeci wreszcie problem, to bezideowość studentów. I na ten temat pisze p. Gruszczyński: „Ci młodzi nie mają żadnej ideologii, uczą się po to, by zatrzymać uprzywilejowaną pozycję w społeczeństwie. Obojętność — oto jakże częsta wśród nich forma przyzwolenia dla opływającej mury uniwersyteckie rzeczywistości".

No tak istotnie, jeżeli za jedyną ideologię uważacie swój pogląd na świat, to bezwątpienia duża część młodzieży nie ma żadnej ideologii! Ale na szczęście tak nie jest.

Mam pisać o obliczu ideologicznym wyższych uczelni, bardzo to skomplikowany problem, gdyż uniwersytety to nie karna partia polityczna, reprezentująca jednolitą postawę, ale uniwersytety są przede wszystkim przybytkiem wiedzy, terenem twórczości naukowej, placówkami polskiej nauki i kultury.

Tym niemniej prawdą jest, że studenci mają i powinni mieć pewne poglądy, a co za tym idzie powinni mieć pewien pion ideowy. Ale wachlarz reprezentowanych przez nich przekonań jest obszerny, ma on różne kierunki i odcienie. Trudno więc byłoby mi mówić w imieniu wszystkich akademików. Mogę zabrać tylko głos w imieniu ich części, w imieniu środowisk katolickich, wcale licznych na uniwersytetach, a nie mających dotąd swojej organizacji, ani swego pisma. Otóż nas p. Gruszczyński idealizmu uczył nie będzie. Nasz program jest jasny, nasz program i zadania wyznacza z jednej strony wyznawany światopogląd spirytualistyczny, z drugiej zaś strony poczucie i ukochanie polskiej przynależności narodowej i państwowej. Zadaniem naszym, płynącym z wyznawanego światopoglądu, jest praca nad rozwijaniem i tworzeniem oraz realizowaniem jedynie prawdziwej (dla nas) doktryny chrześcijańsko-społecznej, opierających się na Encyklikach społecznych i całym dorobku chrześcijańskiej socjologii. Dalej zadaniem naszym, płynącym z poczucia i ukochania polskiej przynależności narodowej i państwowej, jest praca nad zrozumieniem i urzeczywistnieniem w życiu politycznym nakazów polskiej racji stanu, płynącej ze zrozumienia celu i roli narodu, oraz każdorazowej sytuacji dziejowej. Racji stanu, która by umiała pogodzić poczucie honoru narodowego z nakazami realizmu, która kieruje się tylko dobrem wspólnoty narodowej oraz nienaruszalnymi także i życiu społecznym zasadami etyki katolickiej.

Oto nasz program, który wyznacza nasz stosunek do konkretnych problemów polskiej rzeczywistości, w oparciu o który uznajemy w zasadzie dzieło reformy rolnej, czy uspołecznienia przemysłu. I jeśli mówię, że uznajemy te reformy, to nie dlatego, by zaraz potem móc powiedzieć, że nie odpowiadają nam ich rozmiary i sprzeczne z naszą doktryną metody realizacji, a dlatego, że zarówno materializm kapitalistyczny, jak i materializm ekonomiczny „marksistowski" jest sprzeczny z nauką chrześcijańsko-społeczną i że zwalczając ustrój kapitalistyczny, stoimy jednak twardo na gruncie prawa własności indywidualnej w określonym zakresie nieodzownego do swobody rozwoju osobowości ludzkiej i sprawiedliwości społecznej.

Podobnie z problemem polskiej racji stanu. Popieramy politykę Rządu Polskiego w sprawie granic zachodnich, popieramy koncepcję sojuszu polsko-sowieckiego także nie dlatego, by zaraz potem dodać: „sojusz, ale na warunkach równi z równymi", natomiast dlatego, że są to nakazy polskiej racji stanu, warunki bytu i rozwoju narodowego.

Sądzę, że na tym tle bezideowość młodzieży nie wygląda tak tragicznie. Sądzę dalej, że niewątpliwie istnieją grupy studentów, może nawet poważne ilościowo, mało myślące i ulegające zmaterializowaniu, to też należy ich wychowywać i przekonywać, ale nie artykułami tego typu, co artykuł p. Gruszczyńskiego.

Dlaczego nie ma dotąd organizacji ideowej młodzieży chrześcijańskiej, gdy strona przeciwna ma Z. W. M., czy Z. N. M. S., oto pytanie, które zadaje sobie wielu studentów. Zgadzam się z p. Gruszczyńskim, że dzieli nas nie tylko problem kompleksów i załamań poakowskich. Między nami są istotne różnice ideologiczne, różnice poglądów, których ścieranie może być twórcze i dla kraju korzystne, ścieranie się poglądów ideowych, dyskusja, a nie napastliwe artykuły w „Pokoleniu".

A problemu AK nie sprowadzajcie, panowie, do faktu istnienia załamanej grupy ludzi, załamanej dlatego, że nie doszła do władzy. Bo niewątpliwie upadek powstania, bankructwo londyńskiej koncepcji politycznej, na którą liczono przez sześć lat wojny, spowodowało zdezorientowanie wielu z nas. A te kompleksy już mijają, nas dzielą konkretne różnice poglądów i na ten teren przenieśmy wreszcie dyskusję, a nie popisujmy się straszakami w rodzaju sloganów o reakcji, Falandze, faszyźmie i O. N. R., że bo to i nie twórcze i nie przekonywujące.

I jeszcze jeden problem: kursy wstępne. To także bardzo pasjonuje p. Gruszczyńskiego. Osobiście jestem ich wielkim zwolennikiem. I to zarówno jako środka szybkiego powiększenia kadr wyniszczonej inteligencji i jako środka dopływu elementu chłopskiego i robotniczego na Uniwersytet. Ale tu dwa warunki. Po pierwsze kursy wstępne są instytucją tymczasową, o ściśle sprecyzowanym okresie istnienia, po drugie kursy są miejscem dla tych, którzy nie mogli się uczyć w czasie wojny, dla wybitnie zdolnych, którzy wyrównawszy braki staną się normalnymi studentami, przez co nie obniżą poziomu, a to jest jednak bardzo ważne,

W świecie...

NIEMIECKI PECH

NIEMCY mają niewątpliwego pecha. Jeszcze raz ujawnił się fałsz etykiety wytłoczonej na wojskowych pasach ich żołnierzy, że „Gott mit uns". Przed paru laty spóźnili się z wynalezieniem bomby atomowej, choć wydaje się, że prace nad tym były dość daleko zaawansowane — tak teraz zbyt wcześnie, jak na niemiecki interes, a w sam czas — jak na interes reszty świata — ujawniony został podziemny spisek hitlerowski. Władze obu anglosaskich okupacji w porozumieniu z władzami radzieckimi i francuskimi przeprowadziły gigantyczną obławę, która doprowadziła do ujęcia około 1000 przywódców niemieckiej organizacji podziemnej. Komunikat, wydany do prasy przez władze anglosaskie, stwierdza, iż tym samym zlikwidowana została cała organizacja i zażegnane możliwości jej odrodzenia. Wydaje się to nam więcej niż mrzonką. Gdy w grę wchodzi ideowy fanatyzm, połączony z zaciekłym nacjonalizmem — jak to ma miejsce u pogrobowców hitleryzmu — tam napewno nie wystarczy aresztowanie nawet 1000 osób sztabu. Na miejsce tych 1000 osób — wśród których wymieniane są nazwiska generałów i szefów policji Trzeciej Rzeszy — napewno znaleźli się już ich młodzi następcy i kontynuatorzy. Do zlikwidowania spisku podziemnego hitleryzmu nie wystarczy aresztowanie nawet kilkakroć po 1000 osób, jak nie wystarczy wogóle ograniczanie się tylko do akcji typu wywiadowczo-policyjnego. Denazifikacja musi stracić swój formalny dźwięk, wyrażający się w skazywaniu jednostk — jak np. Papena na lat 8 obozu pracy — i bezkarnym uwalnianiu tysięcy. Musi zyskać jakieś faktyczne znaczenie. Mówi się o likwidacji Prus — ogłoszono, iż pogląd na konieczność likwidacji tego ośrodka imperializmu i totalizmu niemieckiego został uzgodniony w łonie berlińskiej Rady Kontroli. Ale chyba to nie wystarcza. Okazuje się, iż nowy spisek hitlerowski nie powstał w Berlinie czy Rostocku, ale w Bawarii Niemców. Sprawa Niemiec okazuje się być trudną i skomplikowaną. Nie wystarcza już tylko stwierdzenie opowiadające się za luźną federacją, czy ścisłą centralizacją władz administracyjnych. Federacja — choć byłoby to bardzo szczęśliwe, gdyby można ją rzeczywiście zrealizować — pozostanie zawsze tylko na papierze, jak długo nie będzie chciał jej uznać naród niemiecki. A pewnie on jej nie uzna — nie tylko ze względów na swój nacjonalizm, ale przede wszystkim ze względu na to, iż tego rodzaju koncepcje byłyby cofaniem historii, która od mniejszych organizmów narodowych ewoluue ku większym, a nie odwrotnie. Dlatego też remedium na niemiecką chorobę — nie tkwi w automatycznym pokrajaniu Niemiec spowrotem na małe okręgi. Sprawa sięga głębiej. Jak głęboko — to właśnie ujawnił odkryty spisek hitlerowski, czy też może, co jest dla świata istotniejsze, spisek niemiecki (spiskowcy w swym zdradzonym władzom programie domagają się państwa niemieckiego nie - hitlerowskiego). Nie zmniejsza to jednak niebezpieczeństwa takiego spisku dla świata pokoju. Dlatego też więcej niż dobrze się stało, że w przeddzień obrad moskiewskich, podczas których zetrą się różne koncepcje urządzenia Czwartej Rzeszy — sami Niemcy, ci sami Niemcy, którzy przez usta Schumachera domagali się wysłuchania w Mskwie i ich postulatów — ci sami Niemcy rzucili na szalę swej sprawy argument najcięższy. Argument tak istotnie ostrzegawczy przed niemieckim niebezpieczeństwem. W Niemczech wykryto ogromny spisek — panowie ministrowie Wielkiej Czwórki! — memento mori...!

Popierajcie oświatę katolicką!
Zapisujcie się na członków Towarzystwa Przyjaciół

KATOLICKIEGO UNIWERSYTETU LUBELSKIEGO

Wasze drobne składki, byle regularnie płacone, przyczynią się do rozwoju oświaty i kultury katolickiej.

Wpłaty PKO II — 153 Lublin.

panie Gruszczyński. I sądzę, że tak obecnie jest. Sądzę, że działalność kursów wstępnych jest pozytywna. A zdobycie dla nich entuzjazmu lub chęć uznania u studentów nastąpi po przekonaniu o ich celowości, a nie po napastliwych artykułach w rodzaju „Przewrót w Monaco" w „Pokoleniu". W „Pokoleniu", które pod wstępnym artykułem o patetycznym tytule „Historia wzywa do pojednania" zamieszcza zjadliwy, obrażający studenta i honor wyższych uczelni elaborat p. Krzysztofa Gruszczyńskiego.

Owszem, pojednanie jest możliwe, jest ono konieczne. Musimy współpracować z obozem rządzącym dziś Polską na wielu terenach, kompleks tymczasowości, postawa negacji politycznej jest mało twórcza, łączą nas poglądy i jednakowe rozumienie wymogów polskiej racji stanu na wielu odcinkach, ale nie zacierajmy istotnych różnic światopoglądowych i politycznych, bo to na nic się nie zda. Uczmy się szanować cudze poglądy, choćbyśmy uważali swoje za doskonalsze.

A nade wszystko nie zapominajmy, że uniwersytet to teren nauki, a nie polityki, że organizacje ideowo-wychowawcze mają za cel wychowywać, propagować pewne idee, tworzyć elitarne zespoły ideologiczne, mające za zadanie rozwijać i wzbogacać narodowy dorobek myśli i kultury politycznej, a nie doraźne cele polityczne.

Apolityczności nie propagujemy, rozumiejąc jej fikcyjność, ale żądamy, by uniwersytet był terenem nauki i przygotowania się do życia społecznego i politycznego, a nie polem walki obozów politycznych. I jeszcze jedno! Nie przemawiajcie, panowie, do nas tak z góry, nie macie do tego tytułu, nie usiłujcie pełnić roli mentorów młodzieży i społeczeństwa, nie wpadajcie w kompleks samouwielbienia, bo to ani wam, ani marksizmowi zwycięstwa dać nie może. Zrozumcie, że my także myślimy i to nawet intensywnie, że będziemy chętnie dyskutować, od tego jest przecież publicystyka, ale trudno nam ścierpieć ataki napastliwej i często ordynarnej w swej bezsilności nienawiści, już nie klasowej nawet, bo przecież na uniwersytetach jest coraz więcej elementu ludowego. Tak dyskutujmy. Rzeczywistość wymaga od nas postawy jasnej i zdecydowanej. Porozumienie osiągnąć można — trzeba tylko dobrej woli, cokolwiek taktu i dużo spokoju!

Andrzej Micewski

Poseł Dr. Frankowski o amnestii

Wysoki Sejmie! w imieniu Katolicko-Społecznego Klubu Posłów chciałbym zwrócić uwagę na pewne, szczególnie ważne zagadnienie, które wiąże się z projektem ustawy o amnestii. Jest to wyjątkowa sprawa, przy której chodzi przede wszystkim o konkretne czyny. O tych czynach będę mówił.

Skuteczność amnestii wymaga skoordynowania wysiłków następujących czynników: Rządu, Sejmu, społeczeństwa i wreszcie podziemia.

Projekt ustawy o amnestii jest projektem wniesionym przez Rząd. Nie mogę się oprzeć, aby nie podkreślić moralnej wagi tego zagadnienia.

Jesteśmy przekonania, że Rząd wnosząc projekt ustawy o amnestii, podszedł do całego zagadnienia szczerze, nie dla krótkotrwałego zdobycia popularności, ale dla trwałego zbudowania zgody narodowej i trwałego wzmocnienia siły naszego Państwa.

Zdajemy jednak sobie sprawę z tego, że Rząd to nie tylko ministrowie, ale również cały aparat wykonawczy w terenie. Zdajemy sobie sprawę z tego, że w tym aparacie wykonawczym w terenie są różni ludzie, którzy czasem bez złej woli, nie rozumieją przepisów o amnestii, o której nie możemy bez reszty powiedzieć, żeby była tak bardzo przystępnie sformułowana. Znajdą się również i tacy, którzy, powiedziałbym, będą niewłaściwie komentowali ustawę i świadomie ograniczali jej zasięg, względnie też będą rozsiewać niczym nieuzasadnione plotki, hamujące proces ujawniania się.

Chodzi o rzecz naprawdę wielką. Dlatego też z całą stanowczością kierujemy nasz apel pod adresem Ministerstwa Bezpieczeństwa, aby dopilnowało prawidłowego wykonania ustawy o amnestii.

Wiemy, jak ciężka i niebezpieczna jest praca w terenie, wiemy ile pochłonęła ona ofiar z szeregów UB i Milicji. Wiemy, tym nie mniej apelujemy do Ministra Bezpieczeństwa: Za burtę z aparatu urzędniczego z tymi wszystkimi kacykami, którzy by chcieli inaczej rozumieć ustawę o amnestii, niż my to zgodnie z Rządem rozumiemy. Zły funkcjonariusz, źle wykonujący przepisy ustawy o amnestii, to gorszy może wróg od samego podziemia.

Tak więc pierwszym warunkiem skuteczności ustawy amnestyjnej, to sprawność i poczucie głębokiej odpowiedzialności aparatu wykonawczego. Jeżeli to będzie dopilnowane i zastosowane, to przynajmniej połowę ciężkiej pracy nad rozładowaniem podziemia mamy za sobą.

Za drugi nieodzowny warunek skuteczności amnestii uważam postawę Sejmu. Już na posiedzeniu Komisji miałem zaszczyt oświadczyć na samym wstępie dyskusji: Klub nasz nie zgłosi żadnych wniosków mniejszości, Klub nasz będzie dążyć do tego, aby ustawa o amnestii była uchwalona jednomyślnie.

Nie powiem, że nie mieliśmy żadnych uwag, czy poprawek do wniesionego przez Rząd projektu. Dyskutowaliśmy w pewnych momentach nawet bardzo gorąco i nie zawahaliśmy się dotknąć nawet najbardziej drażliwych problemów. W płaszczyźnie dobrej woli i wzajemnych ważnych ustępstw osiągnęliśmy porozumienie, wiele poprawek zostało uwzględnionych.

Za trzeci czynnik uważamy właściwą postawę społeczeństwa.

Należy zmobilizować wszystkie terenowe autorytety bez względu na przekonania polityczne, aby one przez swą postawę zaufania do ustawy amnestyjnej oddziaływały pozytywnie na podziemie.

Operujemy skrótami: podziemie, las. Jest w tym dużo przesady. Ci ludzie, o których nam chodzi, niekoniecznie siedzą w podziemiu, niekoniecznie siedzą stale w lesie, oni przeważnie chodzą pośród nas i mieszkają pośród nas. Trzeba zmobilizować społeczeństwo, aby swą postawą wpłynęło na tych wszystkich, którzy mają się ujawnić, aby się niezwłocznie ujawnili.

Mobilizacja opinii, to jeszcze nie wszystko. Społeczeństwo musi zająć się tym, aby ci, którzy wyjdą z więzień, którzy ujawnią się, znaleźli odpowiednie miejsce dla siebie, aby nie wrócili z powrotem do dawnego procederu.

Stawiamy konkretny projekt zwołania Komitetu Opieki nad Amnestiowanymi. Człowiek, wychodzący z podziemia, człowiek wychodzący z więzienia, musi odrazu znaleźć wyciągniętą do siebie bratnią dłoń, która się nim zaopiekuje, która pomoże znaleźć uczciwy sposób zarobienia na kawałek chleba.

Jeżeli my tej pracy nie wykonamy, to możemy liczyć się z tym, że część ludzi stoczy się z powrotem na złą drogę. Znane nam są wypadki, że instytucje zwalniały rodziny tych pracowników, którzy zostali skazani za przestępstwa polityczne.

Zapytujemy, czy to jest właściwa metoda?

Każdy pracodawca, każda instytucja państwowa, spółdzielcza, czy samorządowa musi uważać za swój obowiązek zatrudnić ludzi, którzy skorzystali z dobrodziejstwa amnestii. Mamy obowiązujące ustawodawstwo, które przewiduje obowiązek zatrudnienia w pewnym procencie inwalidów.

Nie zapominajmy o tym, że korzystający z amnestii, to jeszcze większy inwalida, którego należy otoczyć specjalną opieką, dać szybko uczciwą pracę i nauczyć myśleć kategoriami normalnego obywatela. Nie wystarczy dać stanowisko płk. Rzepeckiemu — trzeba dać zajęcie reszcie szarych ludzi. Sygnalizujemy już dziś, że zwrócimy się do Pana Marszałka Sejmu, aby zwołał konwent seniorów wszystkich klubów poselskich, celem rozważenia dokładnie sprawy powołania Społecznego Komitetu Opieki nad Amnestionowanymi.

Uważamy to za jeden z kardynalnych warunków powodzenia akcji.

Wreszcie dochodzę do momentu czwartego i ostatniego — podziemia.

Nie będę twierdził, że obecna ustawa całkowicie i bez reszty ten problem zlikwiduje, bo takiej ustawy wogóle nie ma — to nie jest tylko sprawa przepisu prawnego. Śmiem natomiast twierdzić, że zdecydowane przeprowadzenie ustawy powinno problem podziemia sprowadzić do kategorii problemów małej wagi, a nie pierwszorzędnej wagi, jak to ma obecnie miejsce. Jesteśmy przekonani, że podziemie zareaguje żywo na wydanie obecnej ustawy i ujawni się, o ile oczywiście odrazu zagrają wszystkie poprzednio wymienione momenty, to jest: Rząd, Sejm, Społeczeństwo.

Kierujemy nasz apel do podziemia — ujawniajcie się, korzystajcie z amnestii.

Jeszcze jedna krótka uwaga: ustawa amnestyjna, to wyraz pewnej postawy wobec przeszłości, postawa pojednania, przebaczenia, jeden z najgłębszych rysów chrześcijaństwa. Dobrze jest umieć leczyć, skutecznie leczyć błędy, ale jeszcze lepiej jest umieć im zapobiegać.

Ustawa amnestyjna, to jakby przypomnienie niepisanej umowy moralnej, która w dniu dzisiejszym zostaje zawarta między wszystkimi ugrupowaniami politycznymi, działającymi w Polsce, pomiędzy czynnikami rządzącymi, a szerokimi masami społeczeństwa, (dla których często Państwo — to wójt, starosta, szef bezpieczeństwa).

Ta umowa niepisana brzmi krótko — odtąd rządzić będzie jedynie i wyłącznie prawo. Nie ma usprawiedliwienia dla podziemia strzelającego nadal do robotników z Chodakowa, nie ma usprawiedliwienia dla kogokolwiek z aparatu administracyjnego czy policyjnego, kto nadużywa władzy i wyraźnie ją przekracza.

Będziemy głosować za projektem ustawy, z poprawkami Komisji.

Jan Frankowski.

Nik Rostworowski

LIST DO PRZYJACIELA

Prawda jest jedna, drogi różne,
Jak różnym szlak lirycznych natchnień.
Dzisiaj już wiesz, czy nie za późno?
Że wtedy w lesie było łatwiej.

Seminarzysto zdjęty tremą,
Czy siwy docent znajdzie posłuch,
Gdy w uszach nadal trzask kaemów
Z zbyt wąskich polan Kampinosu?

Jakie z doświadczeń świętokrzyskich
Snuć wnioski tu, w laboratorium?
Potrafisz dzieje kuć po ciskiem,
Więc nie chcesz poddać się historii...

Który poznajesz ile prościej
Rozstrzygać problem z stenem w dłoni,
Nawykły trakt do Polski mościć
Ciałami wrogów, bracie pojmij!

Podobna sprawa: Niepodległych.
Jeśli odmienny kształt tych zdarzeń,
Nie wiń wyroków, że ustrzegły
Ciebie, gdyś las do krwi rozżarzał.

Tam, gdzie się kończy sprawa leśna,
Wyrosła lasem sprawa wiedzy.
Chociaż się żalisz, że za wcześnie,
Zrozum, tu także brak żołnierzy.

Za najdumniejsze dni dywersji
Nie tani pisał czas rachunek.
I lgnęły do mchu młode piersi,
Stygły źrenice w barwach łuny...

Podobna sprawa Prawda jedna.
Droga nielekka. Dookolna.
Niech płoną mózgi, łuny bledną,
Kiedy spragniony mówisz: Wolność.

Tydzień kulturalny

ANTOLOGIA, ALE JAKA?

DWUTYGODNIK „Warszawa“ anonsuje oddanie w najbliższych dniach do druku „Antologii polskiej poezji podziemnej (1939—1944)“, do której — jak podaje pismo — wejdą najwybitniejsze i najbardziej charakterystyczne dla okresu okupacji utwory poetyckie drukowane przez polską prasę konspiracyjną.

Wydanie takiej antologii jest rzeczą ze wszechmiar wskazaną. Już czas bowiem najwyższy ukazać jak najszerszym warstwom społeczeństwa wysiłek twórczy literatury Polski Podziemnej. Tym nie mniej musimy wziąć pod uwagę jedno: antologia taka powinna być dokładnie opracowana, a uwzględniając wszelkie źródła, musi dać rzeczywisty obraz świata literackiego w latach walki podziemnej, a nie tylko zbiór mniej lub więcej przypadkowo dobranych utworów.

Nie wiemy, kto jest redaktorem owej anonssowanej „Antologii“, czy będzie ona wynikiem pracy indywidualnej czy też zbiorowej. I to nas właśnie niepokoi. Jest to zbyt odpowiedzialne zagadnienie aby zrekontruowania tego okresu walki mógł się podjąć tylko jeden człowiek. Powstać mogą niedokładności oraz usterki, a obraz może ulec zniekształceniu.

A tymczasem sądząc choćby tylko po notatce reklamowej — w której autor wymienia jako źródło „Antologii“ najmniej znane czasopisma literackie Polski Podziemnej — obawiamy się, czy autor tej pracy, zna jej zakres, a jeśli nie — czy jej podoła? Chyba, że notatka reklamowa nie określa wartości źródeł, bo jeśli tak — to zarzuty cofamy.

Ale, ale... Sprawa może jest drobna, tym nie mniej charakterystyczna. Autor podając pisma literackie podziemne, pomija „Sztukę i Naród“. Ten drobny fakt demaskuje autora i dyskwalifikuje go jako znawcę okresu literackiego Polski Podziemnej 1939—1944. A zatem odsyłamy go do doskonałego szkicu Lesława Bartelskiego p. t. „Na zawsze związani z miastem“, zamieszczonego w tegorocznym „Kalendarzu Warszawskim“. Może zapoznanie się z faktami podanymi przez Bartelskiego ułatwi autorowi „Antologii“ pracę i wskaże mu istotnie ważkie źródła. „Antologia“ taka bowiem nie może być pracą chybioną ani opracowaną bez pomyślenia. Przed lekceważeniem tej sprawy przestrzegamy.

LITERATOM NIEPRACUJĄCYM ODMÓWIONO KARTEK ŻYWNOŚCIOWYCH

KOMUNIKAT organizacyjny Nr 2 Oddziału Warszawskiego ZZLP podaje w niezwykle finezyjnym stylu epilog walki o przywrócenie kart żywnościowych dla niepracujących literatów i decyzję władz. Cytujemy dosłownie:

„Na posiedzeniu plenarnym Zarządu Głównego, odbytym w dniu 29.I w Łodzi, Sekretarz Generalny zakomunikował, że delegacji Zarządu Głównego, która zgłosiła się do Ministerstwa Aprowizacji w sprawie przywrócenia literatom kart żywnościowych, definitywnie odmówiono.

Komentarze zbyteczne — zarówno co do stanowiska biurokracji w stosunku do literatów, jak również i co do stylu komunikatu. A jest to — jak wiadomo — komunikat związku pisarzy.

KRAKOWSKIM TARGIEM

TARG wprawdzie nie odbył się w Krakowie, lecz w Warszawie, a przedmiotem jego była sprawa opodatkowania t. zw. horrendalnych zarobków literatów. Targ w targ i Ministerstwo Skarbu nieco ustąpiło, uznając, że 50% dochodu pisarza stanowią koszty dojścia do dochodu i od tej części dochodu nie będzie pobierany od pisarzy podatek. Ponadto w latach 1946 i 1947 koszty dojścia do dochodu wyjątkowo mają być podwyższone o następne 25—30% z uwagi na zniszczenie warsztatów pracy oraz na inne straty osobiste pisarzy.

Sprawa ta, jako jedna z nielicznych, została załatwiona pomyślnie dla pisarzy. Jedna jaskółka nie czyni wiosny, ale...

Stanisław Rembek

Wyrok na Fran

KŁOS jednak przekonał się, że mówi prawdę. We wszystkich nerwach odezwało mu się zapomniane już nieznośne łaskotanie. Uczuł też ból brzucha, jak zwykle w chwilach grożącego mu niebezpieczeństwa. „Dlaczego ja nie rzuciłem tej służby w policji? Lepiejby mi było kamienie na szosach tłuc“. Był zdruzgotany i zrozpaczony. Zdawało mu się, że Bóg, któremu tak zaufał zdradził go i wystawił na pośmiewisko. „Poco ja przysięgałem sobie, że nie wezmę do ust alkoholu?“.

— Panie Kursz, pan zdaje się, jest już równy. Nie masz pan czasem trochę sznapsa?

Żandarmowi zaświeciły się przekrwione oczy. Był to mizerny malutki człowieczek o miniaturowym nosku. Podsunął Kłosowi pod nos lufę pistoletu maszynowego.

— Tu mam dla ciebie, polski skurwysynie, czterdzieści dwie kropelki.

Kłos wyszczerzył zęby w nieszczerym uśmiechu.

— Nie używam. Ale jeśli bym ja przyniósł szczeniaka i coś na zagrychę?...

Kursz z wściekłością zatrzaskał zamkiem swojego pistoletu maszynowego.

— Szoruj stąd, mówię ci po dobremu, jeżeli nie chcesz zrobić „małych sierotami dziatek i młodej małżonki wdową“, jak mnie uczono w waszej świńskiej szkole w Piotrkowie. Musisz to znać, bo to napisał jakiś wasz głupi poeta, Mickiewicz, czy Sienkiewicz...

— To nie przynosić?

— Przynieść, tylko prędko! Bo...

Kłos ruszył w stronę sklepiku „cioci Sroki“. Był zdruzgotany zupełnie. „Poco ja się kajałem i obiecywałem poprawę? Wszystko przepadło. Niepotrzebnie zadawałem sobie tyle mąk, żeby powstrzymać się od wódki. Gdybym sobie kropnął jednego — inaczej bym się teraz czuł“.

Sklep był zamknięty i zasunięty sztorami. Brama również. Kłos zaczął w nią walić kolbą karabinu. Po pewnym czasie otworzył mu wybladły stróż.

— A, to pan Kłos!

Odetchnął głęboko, jakby uniknął strasznego niebezpieczeństwa. Kłos wyminął go bez słowa i skierował się do drzwi mieszkania pani Sroczyny za drwalnią. Otworzył je bez pukania, minął kuchnię, pozostawioną w wielkim nieładzie i pełną niepozmywanych naczyń, talerzy, przyborów do jedzenia, i wszedł do pokoju, który przytykał do sklepu. Panowała tu idealna czystość i porządek. Trzy łóżka wysoko zasłane i pokryte niebieskimi wzorzystymi kapami, stały pod dwiema ścianami. Między dwoma oknami znajdował się niewielki stolik, nakryty białym koronkowym obrusikiem, na którym między dwiema zapalonymi świecami stał kolorowy posąg Matki Boskiej w śnieżystej sukni i błękitnym płaszczu. Przed nim na wyblakłym dywanie klęczała pani Sroczyna z małą Wandzią i modliły się gorąco. Na odgłos stąpania Kłosa obejrzały się i zerwały z klęczek. Wandzia jednym skokiem wbiegła w ciasny kąt za łóżkiem i ukryła się tam, jak mysz na widok kota. Kłos zdążył dostrzec tylko jej rozszerzone oczy, otwarte usta i białą z przerażenia twarzyczkę. Jej ciotka była spokojna i zrezygnowana. Otarła sobie białym fartuchem pełne łez oczy i zapytała naturalnym głosem:

— Czym mogę służyć?

Kłosa dławiło w gardle, jak przed ostatnią spowiedzią.

— Chciałem się napić — wykrztucił chrapliwie.

— Setkę?

— Niech pani da całą butelkę. Ile wypiję, to wypiję.

— Ale na zakąskę mam tylko jaja na twardo.

— Wszystko jedno. Tylko niech pani doda musztardy i jakich grzybków.

— Może tam jeszcze gdzie znajdę.

Zniknęła za drzwiami. Kłos usiadł przy stole pod czwartą wolną ścianą, oddzielającą pokój od sklepu. Czapki nie zdejmował umyślnie. Zuchwałym i nienawistnym wzrokiem patrzył na uśmiechniętą pochyloną twarz Matki Boskiej i w spory krzyż drewniany, wiszący ponad nią na ścianie. „Dlaczego ja nie rzuciłem służby w policji? Ale gdyby Bogu rzeczywiście zależało co na mnie, gdyby rzeczywiście był miłosierny, to by mnie przecie mógł jako natchnąć“. Czuł się oszukany i zdradzony. Wstydził się teraz swojego upokorzenia przy spowiedzi.

Gdy „ciocia Sroka“ nalała mu szklaneczkę, wypił ją jak wodę, bezmyślnie patrząc w okno, wychodzące na resztki murów kamienicy Goldmana. Była ona rozbita przez bombę w pierwszych dniach wojny, a pozostałe mury rozebrali Niemcy i ludność cywilna, potrzebująca cegieł.

XVIII.

W mieście nadal panowała ponura, gniotąca piersi i paraliżująca serca cisza, przerywana od czasu do czasu pojedyńczymi wystrzałami karabinowymi lub krótkimi seriami pistoletów maszynowych. Odgłosy te przenikały boleśnie w nasze ściśnięte wnętrzności. Rozumieliśmy przecie, że to Niemcy czy też ich ukraińscy służalcy polują na naszych rodaków, którzy się przypadkowo znaleźli na ulicy.

Kłos odczuwał to tak jak i my wszyscy. Jego przygnębienie jednak przeradzało się w gniewną rozpacz. Rozumiał, że po tym, co się niedługo stanie, ze zdwojoną siłą wybuchnie nienawiść do Niemców i do tych wszystkich, którzy współpracują z nimi. I jego wyrok stanie się znowu pilny i na czasie. Znowu więc powstanie przepaść pomiędzy nim, a społeczeństwem, które zaczęło już wyraźnie dopuszczać go do siebie. Pił jedną szklankę wódki po drugiej, ale alkohol nie szedł mu jakoś do głowy.

„Psiakrew, już chyba nigdy w życiu się nie upiję! Wypiłem przecie przynajmniej trzy setki — i nic. A może to jeszcze za wcześnie na jakiś skutek. Podobno wódka zaczyna działać dopiero najwcześniej po piętnastu minutach“.

W pewnej chwili daleko, w stronie dworca, podniósł się chóralny śpiew. Zrazu brzmiał cicho, niby brzęczenie szyb w czasie dalekiej bitwy, potem zaczął róść i zbliżać się. Towarzyszyły mu coraz bliższe i głośniejsze uderzenia miarowe szeregu podkutych butów w kamienisty bruk. Po pewnym czasie można było rozróżnić przyśpiew najchętniej śpiewanej przez Niemców piosenki: „Haj-li, haj-lu, haj-la!“ Wreszcie z ulicy 10 Lutego wkroczył na rynek pluton żandarmów. Szli ochoczo, ciężko bijąc butami i wysoko podnosząc nogi, w opiętych niebiesko zielonkawych mundurach...

— Haj-li, haj-lu, haj-la — ha—ha—ha ha—ha—ha!

Ich udany a hałaśliwy śmiech tym fałszywiej zabrzmiał wśród przepastnej ciszy, wiszącej nad całkowicie pustym miastem.

Był to pluton egzekucyjny. Ustawił się w dwuszeregu na przeciw ruin domu Goldmana. Kilka szczeknięć komendy, i znowu nastało milczenie.

Kłos pił.

Teraz zaczęły gdzieś daleko szumieć i warczeć silniki samochodowe. Początkowo słychać je było w ulicy 10 Lutego, później jednak warkot odezwał się również w ulicy Słowackiego, przy której mieściły się urzędy, oraz Warszawskiej. Zdawało się, że chmury, niosące burzę, ściągają ze wszystkich stron na rynek.

Z ulicy Słowackiego wysunęły się trzy lekkie, kryte samochody osobowe. Zatrzymały się na przeciw okien mieszkania pani Sroczyny, o jakie sto kroków, tuż obok prawego skrzydła plutonu żandarmów. Zaczęli z nich wysiadać nasi dygnitarze z administracji niemieckiej. W żółtych mundurach S. A. i w szarych S. S., w sztywnych czapkach o mocno zadartych z przodu denkach, z oznakami na nich białymi, srebrnymi i złotymi. Niektórzy z czerwonymi opaskami, zaopatrzonymi w czarne wężowiska swastyk w białych krążkach, na lewych ramionach gromadzili się leniwie i niezdarnie, nadmiernie nadęci, i ciężko unosili niedbale powyciągane prawice w odpowiedzi na powitanie prężącego się wśród wrzasku komend plutonu egzekucyjnego. Wszystko to w ich oczach miało oznaczać majestatyczną powagę. Stanęli nieskładną grupą, milczący, o twarzach, którym usiłowali nadać wyraz drewniany, tak nie pasujący do ich policzków pulchnych, rumianych i błyszczących, jak wyroby wędliniarskie.

Równocześnie po przeciwnej stronie w ulicy Warszawskiej obok kościoła ukazał się wielki samochód ciężarowy, pełen żołnierzy. O ile Kłos mógł dostrzec z dużej odległości, mieli oni szare mundury, które mogły oznaczać esesmanów. Stojący na posterunkach u wylotu ulicy żandarmi wybiegli na przeciw z podniesionymi rękami, krzycząc:

— Halt! Halt!

Samochód zatrzymał się. Zaczęła się wrzaskliwa kłótnia. Z ruchów rąk żandarmów można było wnosić, że wskazywali oni, którędy należało rynek okrążyć. Ale esesmanom nie śpieszyło się widocznie za bardzo. Z drugiej strony nie chcieli widocznie pominąć sposobności nasycenia swoich rozwiniętych przez odpowiednie wychowanie instynktów sadystycznych widokiem tego, co się miało niedługo rozegrać, bo większość z nich zaczęła wyskakiwać z samochodu i kupić się za łańcuchem posterunków. Niektórzy przedostawali się nawet okólnymi drogami do wylotów innych ulic, żeby znaleźć miejsca w pierwszych rzędach. Bo jak Hiszpan nie potrafi się obejść bez walki byków, Anglik — bez sportu, Włoch — bez miłostek: tak Niemiec nie wyobra-

Z TEATRÓW

„Przyjaciel przyjdzie wieczorem“ Companeez'a i Noel'a w Teatrze Powszechnym — „Żołnierz Królowej Madagaskaru“ Dobrzańskiego i Tuwima w Teatrze Wojska Polskiego.

Skoro tyle wyrobów artystycznych na tym najlepszym ze światów kiepścieje, możemy się właściwie nie dziwić, że kiepścieje i twórczość dramatyczna Wystarczy przejrzeć jej „szczytowe osiągnięcia“ na polu tematyki i problematyki wojennej, któreśmy kolejno poznawali na scenie. Mieliśmy zimnego i ponurego, ale zawsze o dużej klasie, Franciszka de Curel i „Ziemię nieludzką“, później namiętny i szarpiący nerwy, chociaż reportażowy „Kres wędrówki“ Sherif'a. Dzisiaj, po najkoszmarniejszej rzezi, po najpotworniejszym w dziejach obnażeniu się bestii nad bestiami, stać już dramaturgię tylko na takiego „Przyjaciela“! Nikt nie schodzi wgłąb otchłani, żeby wywlec bez pardonu na jaw ohydę instynktów, zaplątanych w fatalizmy niby — kultury; brak twórczego śmiałka, coby z dantejskim gniewem zstąpił na dno samo piekła nowoczesności i zaprzągł cały swój talent dramatopisarski w służbę protestu i przestrogi. Parę broszurkowych frazesów o różnych imponderabliach, które wojna — przynajmniej po jednej stronie walczącej — zapchnęła do śmietnika, trochę odcinkowej efektowności i sensacyjności, dużo zacieru filmowego i taniochy psychologicznej, podbarwionej ojczyzną, wymięszane to inteligentnie razem i „Przyjaciel przyjdzie wieczorem“ Companeez'a i Noel'a gotowy! Maquis w wygodnych fotelach, rewolwery i rozpylacze na przeplatankę z tortami i szampanem, partyzanci i wariaci, i na tem tle biedne kobiece kurczątko, które wpada w obłęd, ponieważ kochanek Francuz okazał się po przedślubnem użyciu Niemcem i szpiegiem! Tak zgrabna qawantura. Wprawdzie określenie: zgrabna zmęło się w feiletonach recenzyjnych na proszek i mocno straciło na praktyczności, niech jednak będzie: zgrabna, skoro zgodnie z warszawskim ceremoniałem każdą paryską wypocinę pasuje się conajmniej na zgrabną. Licho wie, zresztą, może to rzeczywiście zgrabność — przepędzić widza przez tak dozowane duszczyki i emocje tak przeciągnięte, że nie sieją w nim żadnej niebezpiecznej trwogi, pozwolą mu na spokojne strawienie kolacji po przedstawieniu i nie zaburzą snu wizjami, gorszemi niż Goyi czy innych makabrystów.

Paryskiego cienkusza, który jako produkt przystępny w cenie (umysłowej), klarowny (więc dla mas) i odświeżający nasze stęplałe w roskoszach pokoju nerwy, spotka się niewątpliwie z powodzeniem, podano w Teatrze Powszechnym po przedwojennemu. Że użyję przenośni: na srebrach i w kryształach. Powierzono melodramkę do wyreżyserowania p. Jerzemu Blockowi i równocześnie obciążono go główną rolą — rycerskiego i przesubtelnionego komendanta partyzantki z wygodami. P. Block, artysta o entuicji bardzo rozwiniętej i czułym smaku, ręce reżyserskiej pracowitej, z obu zadań wywiązał się chwalebnie jeśli mu nie liczyć jako reżyserowi, za mały minus, że oszczędzał ołówka. Bo widowisko trzyma się dobrze kupy, efekty nie uległy rozcieńczeniu, przeciwnie, doskonale kulminują, gdzie wypada, akcja płynie gładko i wartko, lecz scena końcowa

ciszka Kłosa (13)

ża sobie życia bez mordowania bezbronnych i bez znęcania się nad słabszymi od siebie.

Tymczasem hałas silników rósł. Wreszcie z ulicy 10 Lutego zaczął wyjeżdżać cały tabor samochodów ciężarowych. Najpierw szedł odkryty z grupą żandarmów i z karabinem maszynowym, wycelowanym do przodu; potem szły trzy zakryte, zwane przez nas „budami", na końcu znów był eskortujący z karabinem maszynowym, skierowanym do tyłu. Żandarmi wyskoczyli pierwsi i jęli wyciągać z dwóch „bud" skazańców, otaczając ich wieńcem „rozpylaczów", bijąc ich swoim zwyczajem kolbami i popychając. Wreszcie ustawili ich z boku, przed kościołem, tuż pod figurą Matki Boskiej, która z wysokiego cokołu spoglądała na wszystkich z uśmiechem anielskiej radości, wyciągając dłonie łaskawie i miłośnie.

Z trzeciej budy wyszła gromada wynędzniałych Żydów, zarośniętych, o oczach zapadłych w czarne oczodoły. Mieli oni ładować trupy na samochód.

Spośród więźniów wyróżniał się swym olbrzymim wzrostem i postawą kierownik Rządek. Rozglądał się on na wszystkie strony z jakąś gniewną ciekawością. Inni skazani zachowywali się spokojnie i obojętnie, jakby nie zdawali sobie sprawy z oczekującego ich losu. Tylko jeden z nich, w którym Kłos poznał lekarza z Lemieszowa, doktora Wojtyrę, był blady jak papier i płakał rzewnie, przyciskając obie pięści do piersi. Był to człeczyna mały i szczupły. Poza tym Kłos nie dostrzegł nikogo z bliżej znajomych! ani swego ojca, ani restauratora Chomińskiego, którego w ostatniej niemal chwili rodzina zdołała wykupić za sto, czy sto pięćdziesiąt tysięcy złotych. Taka mniej więcej była w owym czasie cena życia ludzkiego. Zamiast niego wyznaczono na śmierć jakiegoś młodego robotnika z Lemieszowa. Wielu w naszym mieście miało nawet za złe Chomińskiemu, że — jakby powiedzieć — żyje cudzym życiem, tłumaczył się jednak, że niczego o zabiegach rodziny nie wiedział, że poza tym jego wola, gdyby nawet mógł ją w więzieniu wyrazić, nic nie znaczyła i że w końcu więzień, którego wyznaczono zamiast niego, wcześniej czy później zostałby i tak skazany na śmierć według wszelkiego prawdopodobieństwa. Były to dowody, które przekonały wielu. Zresztą Chomiński i tak nie uniknął swego losu, już bowiem po powstaniu Warszawy został aresztowany przez gestapo, i wszelki słuch o nim zaginął. Po wkroczeniu wojsk sowieckich w 1945 roku odkryto wiele mogił zbiorowych w okolicy, kierując się różnymi pogłoskami, ale ciała jego dotychczas nie znaleziono.

Dopiero po ukończeniu wszystkich przygotowań na rynek wsunął się szybkim ruchem mały samochodzik. Wyskoczył zeń lejtnant Szlissel, mistrz ceremonii, czy też jakby kapłan tej uroczystości mordowania wrogów narodu niemieckiego. Był to młodzieniec lat dwudziestu dwóch, wysoki, szczupły blondyn w mundurze S. S. z trupią główką na czapie. Z zawodu był fryzjerem. Pełen dumy obszedł zgromadzonych z wygiętą dłonią, uniesioną do góry. Szereg ramion wyciągnął się również ku niemu. Wydał jakiś rozkaz. Kilku żandarmów skoczyło ku skazańcom i pięciu z nich zaczęło popychać ku ruinie. Szli posłusznie i obojętnie, tylko kierownik Rządek zaczął stawiać opór. Podniósł się wrzask. Czterech Niemców rzuciło się nań, jak psy na niedźwiedzia.

Kłos drżącą ręką nalał sobie szklaneczkę wódki i wypił ją jednym łykiem. Nie przestawał jednak ani na sekundę patrzyć na to, co się działo na rynku.

Czterech więźniów ustawiło się w ruinie pod ścianą sąsiedniego domu tyłem, trzymając ręce w górze. Kierownika Rządka wlekło dwóch Niemców pod ręce. Trzeci trzymał mu przy plecach wylot pistoletu maszynowego. Jeszcze inni tłoczyli się wokół, krzycząc i bijąc opornego okuciami kolb.

Naraz kierownik okręcił się błyskawicznie dokoła własnej osi, aż trzymający go pod ręce żandarmi frunęli niby skrzydła, obalając tłoczących się kolegów. Za chwilę maszynowy pistolet ukazał się w jego rękach. Powstał przeraźliwy ryk jakby gromady dzikich zwierząt, sparzonych ukropem. Równocześnie zerwała się gorączkowa, zajadła strzelanina z karabinów, rewolwerów i pistoletów maszynowych. Szybkie wybuchy granatów ręcznych wstrząsnęły szybami w oknach, a nad wszystkim zagórował nieprzerwany łomot karabinu maszynowego.

Kłos patrzył w okno szeroko otwartymi oczami. Widział kłębiący się i wirujący tłum żandarmów, katyniaków, esesmanów, urzędników, więźniów! widział, że cały rynek pokrywa się szybko powalonymi ludźmi w zielonkawych, szarych, brunatnych i czarnych ubraniach; widział jasne ogniki wystrzałów, migające we wszystkich stronach; widział gwałtownie rozpryskujące się na bruku żółtawe chmury dymu granatów ręcznych — ale w żaden sposób nie mógł wymiarkować, co się dzieje i kto do kogo strzela.

Nagły warkot skierował jego uwagę w stronę ulicy Warszawskiej. Zatrzymany niedawno samochód esesmanów ruszył raptownie w rynek, bijąc szybko z karabinu maszynowego. Zamykający dostęp żandarmi zielenili się na bruku i na rogach chodników. Esesmani roili się na rynku, błyskając raz po raz ognikami wystrzałów. Niektórzy przyklękali, albo nawet kładli się na ziemi. Oba zaopatrzone w kulomioty samochody żandarmskie płonęły, buchając wielkimi kłębami czarnego dymu.

Kłos w dalszym ciągu nie rozumiał, co się dzieje. Chwycił tylko karabin i odbezpieczył go uroczyście. Pani Sroczyna przykucnęła pod parapetem okna, szepcąc żarliwą modlitwę. Mała Wandzia, która wyszła już była dawniej ze swego ukrycia, przycisnęła się do ściany, obok ciotki, przyciskając z całej siły oba łokcie do piersi, a zaciśnięte piąstki do podbródka. Kłos w przelocie musnął wzrokiem jej dolne zęby, przygryzające górną wargę, oraz nieruchome oczy, wpatrzone w niego. „Czego ona się tak mnie boi? Ach, prawda, strzelałem do niej po pijanemu!".

W tej chwili zatrzęsły się ściany domu, załomotały okna, zatrzaskały szyby, wylatujące z lamentem na podłogę, i tynk z przeciwległej ściany zaczął pryskać na wszystkie strony, napełniając izbę białym pyłem. Kłos instynktownie przykucnął obok cioci Sroki, zaraz jednak wyjrzał ponownie, wystawiając ostrożnie karabin przez wybite okno, aby sprawdzić, skąd pochodziła ostatnia seria karabinu maszynowego. Ciocia Sroka chwciła go oburącz za łokieć.

— Niech pan nie strzela, panie Kłos! Niech pan nie strzela! — zaszeptała w najwyższym przerażeniu.

Odtrącił ją krótkim ruchem. Pałał żądzą boju. Żeby tylko dowiedzieć się, gdzie nieprzyjaciel!...

Środek rynku był pusty, nie licząc trupów, które walały się po nim gęsto. Po prawej stronie stały samochody, z których dwa ciągle płonęły, zasnuwając ciemnym dymem tę część pobojowiska. Spoza taboru błyskały ogniki strzałów, ukrytych tam Niemców. Po lewej stronie grupka niemieckich dygnitarzy powiatowych w największym przerażeniu szturmowała do zamkniętej bramy kamienicy. Dotychczasowa powaga i nadętość opuściła ich całkowicie.

Naraz z okien zaczęły lecieć jakieś przedmioty i jakby strumienie wody. Rozległ się nieludzki wrzask. Jeden z urzędników biegł środkiem w płonącym ubraniu, wyjąc zaiste jak człowiek palony żywcem. Inni przemykali się niemal na czworakach pod ścianami. Znowu granat ręczny błysnął na bruku w rudym obłoku dymu. Spoza samochodów zaczęły wybiegać szybko jakieś postacie w kierunku ulicy 10 Lutego. Kłosowi wydało się, że w mieście wybuchło powstanie. Przypomniał sobie głoszone powszechnie hasło: „Nie damy się wymordować!". Poczuł również nieprzezwyciężoną chęć ucieczki. Najpierw jednak skierował wylot w stronę kamienicy, która tak niegościnnie przyjęła urzędników niemieckich i zaczął strzelać raz po raz, aż się cały wstrząsał od kopnięć kolby.

— Jezus, Maria! — zakrzyknęła pani Sroczyna.

Kłos odskoczył za ścianę, wyrzucił pusty magazynek, załadował karabin ponownie i runął z mieszkania w podwórze. Stamtąd przedostał się przez niski płotek do ogrodu i potem przez drugi jeszcze ogród na róg ulicy 10 Lutego.

Niemcy uciekali tędy w popłochu, wrzeszcząc, jęcząc i lamentując głośno.

XIX.

Kłosa zawsze dziwiło, że ten „naród panów" posiadał tak niesłychanie mało arystokratycznej wstrzemięźliwości, jeśli chodzi o maskowanie swoich uczuć i nastrojów, zwłaszcza takich, jak strach i nieprzytomny gniew. Zagadnął raz nawet o to Kranca. Ten początkowo powsiadł nań w nader grubiański sposób, wreszcie jednak uspokoił się i zaczął mu wyjaśniać z pogardliwą pobłażliwością.

— Tak kto jest panem, to się nie potrzebuje na nikogo oglądać i z nikim liczyć. Niem, Niemcom, nie zależy na tym, żebyśmy się komu podobali, żeby nas lubili i podziwiali. Wystarczy, że się nas wszyscy boją i przez to muszą słuchać. Wy, Polacy, myślicie tylko, jak się komu przypodobać, jak się podlizać, jak się zasłużyć, żeby was chwalili i podziwiali. Dlatego was wszyscy kopią w zęby i nie mają za psów parszywych.

(D. c. n.)

---

sztuki krzyczy wprost o skreślenia; podobnie monodia Beatryczy o partyzantach, nieznośna w swym lichym przeckliwieniu. Wrednego Niemca zagrał p. Kaczanowicz; mimo świetnych manier, dystynkcji, nawet pewnej surowej godności był summa summarum wredny, to znaczy — aktorsko wyśmienity. Kapitalnym hysiem z pozorami normalności był wulkaniczny p. Iwański. Zimnokrwisty Anglik p. Kazimierza Peteckiego — majstersztyk; toż — erotomanka p. Oberskiej, aktorki o rzetelnym poczuciu stylu wnikliwej i rozważnej. Mistrz Paweł Owerłło tchnął szczerą poetyczność w wiariata - realistę, zaś p. Michałowski miał wyraźnie dramatyczne akcenty w czysto poprowadzonej roli Saszy. P. Bay-Rydzewski powiększył piękny, wieloletni dorobek o wzorowo zagranego doktora Lestrade, postać skupioną i pełną dyskretnej szlachetności. P. Michalska w trudnej roli kurczątka poprawna p. Rostkowska w łatwej roli Beatryczy poprawna.

P. Jan Hawrylkiewicz szczęśliwie się uporał z kwadraturą dekoracyj na arcyciasnej scenie.

Otwarty ostatnio na Królewskiej, w lokum dawnego Ipsu, odpowiednio przebudowanym i przedekorowanym, Teatr Wojska Polskiego słusznie zaczął od żołnierza na afiszu, żałuję jednak — ze względów zasadniczych — że od **„Żołnierza Królowej Madagaskaru"**. Abstrakując od niezaprzeczonej przyjemności tego pastiszu, błazeństwa, przenicowanego przez Juliana Tuwima ze starego Dobrzańskiego, wolałbym — nie taję — coś górniejszego, coś wartościowszego, jako pozycję na pierwszy ogień, jako passe partout dla sceny o tak specjalnym przeznaczeniu. Oczywiście mógłby być i jakiś żołnierz Madagaskaru, pod warunkiem, by się wytłumaczył parantelą z Beniowskim, nie z poczciwie durnym Mazurkiewiczem i jego głupkowatym Kaziem, okazem kopalnym dla chłoptasiów, którzy czynnie przeżywali „przygodę" okupacji zamiast naiwnych fikcyj w rodzaju dziadzi Mayne-Reed'a. Co do snobów przedwojennych, to tych Dobrzański pomnożony przez Tuwima będzie i musi wzruszać. Que de souvenirs! Que de regrets! I jeszcze wzbogacony o piosenkę a la Harris o „naszej Warszawie", Warszawce Ipsu, Ziemiańskiej, „Cyrulika" i rewii. Rewii nie wojskowych. Rewii Własta!

Inna sprawa, że Ludwik Sempoliński w skórze Mazurkiewicza wart bodaj stu przedstawień przy nabitej po brzegi sali, ech, mało stu: dwustu. Ś. p. Mariusz Maszyński, niezapomniany, nieopłakany Mariusz robił z Mazurkiewicza w „Letniaku" fenomen wirtuozji, groteski, rarytet artystyczny. Zdawałoby się, koniec, dalej ani rusz, „apres moi le deluge" Tymczasem — Sempoliński! Nie gorszy. Lepszy. Mazurkiewicz Sempolińskiego, to..

Radzę go zobaczyć.

Z reszty obsady trzeba wymienić Tadeusza Olszę i Jana Mrozińskiego. P. Mira Zimińska — jakaś zgaszona, załzawiona. Pollakówna — z werwą. Panna Sabina p. Hanny Runowieckiej plastyczna i wdzięczna.

Reżyseria wyborna Janusza Warneckiego. Dyryguje orkiestrą wiarus, zdolny i kulturalny Syg etyński.

Janusz Kawecki

Tydzień kulturalny

NOWY SUBLOKATOR W CIASNYM POKOJU

DO zgranej już czwórki czasopism społeczno-kulturalnych wychodzących w Warszawie (dwa katolickie: „Dziś i Jutro" oraz „Tygodnik Warszawski", dwutygodnik „Warszawa" i dwutygodnik „Pokolenie") przybywa — jak głoszą wieści — w najbliższych dniach nowy tygodnik społeczno-literacki „Nowiny Literackie", kontynuator tradycji przedwojennych burżuazyjno - liberalnych „Wiadomości". Sam fakt powstania jeszcze jednego ośrodka kulturalnego w stolicy napawa nas radością — martwi natomiast jedno. Otóż czy ta skołatana wojną i zniszczona stolica, w której pisarze nie mają gdzie mieszkać i z której co lepsi pierzchnęli do Krakowa i Łodzi — pomieści jeszcze jednego sublokatora? Ponieważ miejscowy ośrodek literacki jest raczej słaby, widocznie więc redakcja „Nowin" spekuluje na współpracę pisarzy zamiejscowych, przy czym ambicją pisma — jak mniemamy — będzie się stać pismem ogólnopolskim. Cóż jednak na to pokrewne typem tygodniki „Odrodzenie" i „Kuźnica", w które powstanie tego nowego pisma uderza jak najmocniej? I co pocznie biedny p. Jaszcz, gdy mu zlikwidują warsztat pracy?

Mimo tych zastrzeżeń, jakie poczyniliśmy, fakt powstania jeszcze jednego pisma w stolicy jest objawem radosnym i każe przypuszczać, że za rok Warszawa stanie się już faktycznym centrum kulturalnym Polski. Ale do tego — powtarzamy to ciągle, niemal do znudzenia — potrzebne są odpowiednie warunki mieszkaniowe i pracy dla pisarzy, których dziś jeszcze nie mają. No, zobaczymy, jak też „Nowiny" pomieszczą się w tym ciasnym warszawskim, nieomal przysłowiowym „wspólnym pokoju" kulturalnym, jak będą prosperować i oby tylko nie ze szkodą dla pozostałych pism literackich stolicy.

Redakcję naczelną „Nowin Literackich" objął znakomity pisarz Jarosław Iwaszkiewicz, angażując do tej akcji przede wszystkim byłych współpracowników przedwojennych „Wiadomości".

CENNY SZKIC

ZARYS postawy ideologicznej przedwcześnie zmarłego poety Jerzego Lieberta daje w „Tygodniku Powszechnym" Stefania Skwarczyńska. Dobrze się stało, że przypomniano nam tego poetę, jednego z najwybitniejszych twórców dwudziestolecia międzywojennego, a jednocześnie gorącego pisarza katolickiego.

Trafnie i subtelnie kreśli Skwarczyńska sylwetkę poety, akcentując szczególnie mocno jego niezmiernie rzadki w naszej literaturze typ postawy pisarza katolickiego, który reprezentuje w swych utworach postawę Kościoła Wojującego. Jednocześnie Skwarczyńska definiuje trzy zasadnicze postawy pisarza katolickiego, które są wykładnią jego światopoglądu, a zarazem warunkują jego stosunek do rzeczywistości: postawę Kościoła Triumfującego, Kościoła Cierpiącego i nakoniec Kościoła Walczącego. „Postawę tego ostatniego, którego areną jest ziemia — pisze Skwarczyńska — znamionuje postawa walki; walki, której przyświeca wyraźny cel realizacji tutaj Woli Bożej — walki nieustającej, twardej, nieustępliwej, choć pełnej miłości; walki na wszystkich płaszczyznach przeciw wszystkiemu, co złe; przeciw złej organizacji świata, przeciw tępocie i obojętności, przeciw drugim i prezciw sobie".

Szkic Skwarczyńskiej obnaża te wszystkie wartości postawy Kościoła Wojującego w poezji Lieberta, podkreślając raz jeszcze ten wkład pisarza do naszej literatury: „jeśli nad rozdrożami naszej kultury katolickiej zaważył tak często błąd naszych wielkich w literaturze (tj. przyjęcie postawy Kościoła Cierpiącego — przyp. nasz) — to tym większym pietyzmem trzeba otoczy poetę, który jak żaden inny z katolickich poetów zdołał uchwycić specyficzny katolicki „Smak życia" — życia — bojowania".

Problem zbrodniczego ustroju i nowy typ zbrodniarza

z mowy prokuratora Sawickiego

Przytaczamy wyjątki z wielkiej mowy oskarżycielskiej prokuratora Jerzego Sawickiego, wygłoszonej w procesie przeciwko Fischerowi. Mowa ta wychodzi daleko poza sprawę samych oskarżonych i jest ciekawą analizą ogólniejszych i zasadniczych zagadnień socjalnych i politycznych.

Przytaczamy te momenty mowy, które określają negatywne i zbrodnicze cechy hitleryzmu i nowy typ zbrodniarza.

— Proszę Wysokiego Sądu! Faszyzm jest niewątpliwie ruchem **antyhumanistycznym.** Celem faszyzmu bowiem nie jest człowiek, lecz anonim — Państwo, Naród, Rasa — kiedy celem innych światopoglądów, czy nim będzie katolicyzm, czy nim będzie socjalizm, czy komunizm, czy poglądy polityczne, które kolejno w ciągu wieku XIX i XX skupiały zwolenników, wszędzie na samym końcu, celem ostatecznym było szczęście człowieka, szczęście jednostki. Różnice dotyczą przede wszystkim dróg, które prowadzą do osiągnięcia tego szczęścia jednostki, lecz wszystkie te poglądy, wszystkie te teorie za ostateczny swój cel uznały istotę ludzką i jej szczęście. Faszyzm zaś przekreśla ten cel. Dla faszyzmu człowiek jest tylko środkiem, człowiek jest tylko kołem dla rozwoju machiny, której na imię różnie, zależnie od okoliczności: Naród, Państwo, Rasa. Człowiek w koncepcji tego światopoglądu został przekreślony jako cel, został zredukowany do szczebla środka. Dlatego śmiem twierdzić, że pogląd ten jest wsteczny, bo w swym założeniu jest antyhumanistyczny.

Pogląd ten jest wsteczny jeszcze z jednego powodu.

Dzieje ludzkości są niechybnie stałym dążeniem do **zrównania człowieka,** do zrównania wszystkich istot ludzkich między sobą w ich stosunku życiowego rozwoju. Rozmaite postacie przybierały tego rodzaju dążenia ku równości. W zaraniu chrześcijaństwa dały one człowiekowi, który był niewolnikiem, równość w kościele i w obliczu Boga. Teorie polityczne i społeczne XVIII i XIX wieku przybierały na poszczególnych etapach historii rozmaite nazwy. Miały jednak stale jeden cel: stworzenie gwarancji, stworzenie sankcji dla dążenia ludzkości ku równości człowieka, ku równości ludzi między sobą.

Równość wobec władzy, równość ekonomiczna człowieka, czy równość możliwości — oto rozmaite kształty jakie przybierała to dążenie. W samej swej zasadzie, w samej tendencji swojej, w samych najistotniejszych założeniach ruch ludzkości **zmierzał ku zrównaniu ludzi.**

Ruch faszystowski jest ruchem antyegalitarystycznym, a więc ruchem wstecznym.

Faszyzm jest ruchem wstecznym jeszcze z jednego powodu.

Wszystkie teorie i poglądy polityczne, które rodziły się kolejno na przestrzeni ostatnich wieków i leżą u podstaw naszej kultury europejskiej opierały się na **zasadzie uniwersalistycznej,** na możliwościach objęcia całego świata, możności przyjęcia tych zasad przez wszystkie ludy i narody. Ruch faszystowski przekreśla pęd ku uniwersalizmowi, jest antyuniwersalistyczny — i to jest trzeci powód, dla którego nazywamy ten ruch ruchem wstecznym.

Logiczną konsekwencją tego antyuniwersalizmu jest antyslawizm, antysemityzm, antynegryzm, antyromanizm. Nienawiść i rosnący podział ludzkości wokół ściśle określonej granicy egotycznego centrum, które jest przeznaczone tylko dla wybrańców, do którego to koła nikt nie ma prawa wejść, kto z góry nie został przeznaczony do rządzenia i wywyższania się nad innych. Nie ma dlatego już możliwości przyjęcia i wejścia w grono elity. Ona stygmatyzowana jest składem krwi, kształtem czaszki, barwą skóry, i nikt nie ma prawa wstępu do tej świątyni panów. Oto powód, dla którego ten ruch nazywam wstecznym, bo jest on **antyuniwersalistyczny,** kiedy rozwój historii zmierza **ku powszechności.**

Ruch ten jest wsteczny jeszcze z jednego powodu: Od początku swego rozwoju ludzkość zmierzała do wyzwolenia się z magicznego kręgu mentalności prymitywnej. Dążyła w wielkim mozole i trudzie do zdobycia naukowych przesłanek istnienia i współżycia, do odrzucenia tego, co jest mgłą, tylko wyczuciem. Tendencja w rozwoju ludzkości szła ku coraz dalszemu odsuwaniu granicy racjonalizacji. Ruch faszystowski był w swej istocie, w swoim świadomym założeniu ruchem prymitywnie antyracjonalistycznym. Nawoływał on do całkowitego lekceważenia umysłu, wzywał do przekreślenia zdobyczy naukowych. Opierał się na prymitywnych instynktach ludzkości, z nich uczynił kanon i sprawdzian moralny.

Jest jeszcze jedna przyczyna, dla której nazywam faszyzm ruchem wstecznym.— Faszyzm jest rządem bez jakiegokolwiek celu. Prawo, które tworzyła ludzkość na przestrzeni dziejów zmierza do ustalenia bezpieczeństwa wzajemnego, pewności, spokoju wewnętrznego. Faszyzm odrzucał prawo i uznawał tylko zastraszenie— dlatego jest ruchem **antyprawnym.** Cały rozwój ludzkości zmierza do uporządkowania współżycia między ludźmi. Inherentną częścią życia pod faszyzmem miał być celowo użyty i kierowany lęk.

Ruch ten jest niewątpliwie instrumentem imperializmu i stąd przekreślał nawet **istotę państwa narodowego.** Znając elementy państwa narodowego, umiejąc je zanalizować i ocenić postanowił w interesie imperializmu złamać je w sposób dokładny, w sposób naukowy. Atakuje on zasadnicze elementy każdego państwa narodowego, które stoi na drodze jego imperialistycznej ekspansji. Dlatego łamie inteligencję, aparat urzędniczy, związki zawodowe, szkoły, uniwersytety narodu sąsiedniego, wszystkie zarodki przyszłego odrodzenia, możliwości jakiegokolwiek renesansu. W aktach, które przedłożyłem Wysokiemu Trybunałowi z pierwszego posiedzenia niemieckiego OKW we wrześniu 1939 r. była mowa o zniszczeniu narodu polskiego. „Zakazuje się na tym terenie — ustalili — tworzenia jakichkolwiek komórek narodowych (Zellenbildung), jako zarodków przyszłego odrodzenia".

Tendencja ta musiała być antynarodowa nie tylko na zewnątrz ale na wewnątrz. Przypomnę Wysokiemu Trybunałowi, że faszyzm, wbrew swym wobec własnego narodu składanym pierwotnym oświadczeniom teoretycznym, nie wahał się stworzyć pułków „międzynarodowych SS". W tym wypadku odstąpił w zupełności od zasady selekcji wewnątrz własnego narodu, którą tak uporczywie wtłaczał w umysły, byleby tylko ta kohorta służała celom imperialistycznym i interesom tej mafii, która doszła tam do władzy.

Bardzo charakterystyczną ewolucję w swych poglądach oznaczył faszyzm niemiecki swój pochód imperialistyczny. Kiedy na samym początku głosił tylko o „Selbstbestimmung der Deutschen", to w krótkim czasie po wkroczeniu do Pragi chciał tworzyć niemiecki „Lebensraum". by w roku 1941, kiedy dążył do śpiechrzyna wschodzie mówi już o niemieckim „Grossraum", „Grossraumordnung", w której by ci, którzy doszli w Niemczech do władzy (ani czas ani miejsce, by tu analizować to zjawisko socjologiczne) mogli swobodnie rządzić. Wtedy też usłużny prawnik niemiecki i teoretyk faszyzmu Carl Schmitt taką formułę znalazł dla faszyzmu:

„Przestrzeń, w której mają rządzić Niemcy jest szeroka jak cała planeta, wielka jak cały świat".

Jest jeszcze coś w afszyźmie, co uderzyć musi: jest on wielką rozpętaną nienawiścią. Wszystko dla niego jest wrogiem: Żydzi, marksiści, wolnomularze, katolicy, republika wejmarska, Anglicy, Rosjanie, Francuzi: świat cały, wreszcie w końcowej fazie naród własny. Co ma być w faszyźmie pozytywną troską, jest w rzeczywistości tylko maską, świadomym fałszem, gigantycznym oszustwem".

— — — — — — — — — — — —

Nowe formy współżycia, nowe warunki ekonomiczne wymagają niewątpliwie nowych sformułowań i sankcji.

Był czas półtora wieku temu, w zaraniu liberalizmu — jak dziwnym się to Wam dziś Panowie Sędziowie wyda — kiedy oszustwo jako stan faktyczny był jeszcze nieznany, niektórym kodeksom karnym. Stąd kraje, które krzewiły przedsiębiorczość stawały na stanowisku, że sąd nie jest od tego, by stawał w obronie głupców jeżeli dają się oszukać. Wszakże dzisiaj dla elementarnie wykształconego prawnika oszustwo wydaje się jednym z zasadniczych stanów faktycznych kodeksów karnych.

W wypadku tych oskarżonych mamy do czynienia z nowym fenomenem kryminalnej działalności, z którym ludzkość liczy się już od XIX wieku.

Na arenę wszedł przestępca **w białym kołnierzyku.** Upada tym samym tysiącletnia tradycja pojęć o zbrodniarzu ze stygmatem na twarzy, o krwawych rękach, rozpętej koszuli, o brutalnych pięściach. Na ławie oskarżonych zasiadają ludzie o skromnym obliczu, o miękkich oczach, o rysach szczupłych, o pięknych palcach, o bardzo subtelnym wyczuciu, schludnie ubrani — przestępcy w białym kołnierzyku.

Narusza to wielowiekowe tradycje sądowej praktyki. Przestępstwa nie są dokonywane w halach, na jarmarkach, na ulicach, w cieniu i tajemniczych zaułkach, w szynkach i domach rozpusty. Te największe, najniebezpieczniejsze przestępstwa dokonywane są przy biurku w towarzystwie kilku osób o wytwornych metodach przy pomocy skrawka białego papieru, jednym pociągnięciem pióra — cicho, czysto, schludnie...

A gdzieś daleko poczynają dymić krematoria. Gdzieś daleko płoną wsie. Zdala od murów, w których rozbrzmiewa kameralna muzyka, cicha, kojąca nerwy, płaczą matki, dzieci samotne szukają swoich rodziców. Zdala ulatują pociągi z wywożonymi ludźmi. Gdzieś ktoś dusi się w komorze gazowej.

Przestępca w białym kołnierzyku nie lubi brutalności. On w ten sposób realizuje tylko interesy państwa.

Z tym łączy się dalsza osobliwość tych czynów. Te zespoły zbrodnicze zdradzają wielkie podobieństwo do zbrodniczych karteli i trustów. Dotychczasowe prawo procesowe nie jest dostatecznie przygotowane do ich badania. Jest w tych wypadkach niesprawne i często dopiero próbne i eksperymentalne. W normalnych sprawach sędzia, strony procesowe, publiczność przyzwyczajone są do ścisłych faktów, do konkretnych czynów i zarzutów, do świadków, którzy przychodzą, wskazują, oznaczają przestępstwo. Przestępstwo ludzi w białych kołnierzykach, dokonywuje się naogół bez świadków. Pozostają tylko dokumenty: buchalteria, statystyki, książki, plany, koncepcje ekonomiczne, poglądy na świat — jak oni to nazywają „Weltanchaung". I dlatego w takich sprawach od stołu do stołu muszą wędrować jako dowody książki, od strony do strony muszą iść dyskusje na temat zapatrywań moralnych, koncepcji filozoficznych, poglądów ekonomicznych. Dlatego w takich sprawach nabrzmiewają teki dowodami z dokumentów, stosami papieru pisanego i drukowanego.

Taka jest osobliwość tych przestępstw, dokonywanych przez przestępców w białych kołnierzykach.

W tym procesie niestety i to podobieństwo musiało chwilami zawieść.

Spisek ten przed odejściem z areny próbował wszystko zniszczyć i dziś, proszę Sądu, niema miasta, na którym dokonali zbrodni, nie ma murów, nie ma ludzi, nie ma grobów — jest garstka popiołu i te blade afisze, które zdołaliśmy uratować od pożogi i przedstawiliśmy sądowi, by krzyczały w imieniu tych, którzy krzyczeć nie mogą, którzy tu przyjść już nie są w stanie, którzy odeszli na wieki.

I pozostała tylko smutna, bolesna wymowa ruin i krzyk spalonego miasta i jęk rozbitej, obolałej ludności.

Garść popiołu i nic więcej.

Chwalili się kiedś, że przyszli tu utworzyć „Lebensraum", przestrzeń życia, a gdziekolwiek ten spisek przeszedł, tam marsz ten utworzył Totenraum, przestrzeń zagłady i śmierci. Dla siebie chcieli tu utworzyć Lebensraum, odeszli i pozostawili Totenraum. I to, zdaje się, jest największy, najboleśniejszy dowód, który przedstawiono Sądowi. Wyziera ze wszystkich okien, przemawia do Was, kiedy wracacie z rozprawy i kiedy tu znowu przychodzicie przypomina się kiedy przechodzicie obok grobów ulicznych i miejsc straceń. I niech Wam nie zamąci tego widoku kształt ludzkiej twarzy i widok białego kołnierzyka — na ławie oskarżonych.

I jeszcze jedną osobliwość wykazał ten proces. Odejdą ci oskarżeni z areny mali, płascy, zawistni, nienawidzący innych i nienawidzący się wzajemnie, jak doszli do władzy fałszem i oszustwem, mali, bez żadnej legendy. Tu nikt z nich nie miał odwagi bronić swego światopoglądu. Małość do ostatniej chwili. To, czemu poświęcili swoje życie, to, czego dokonali, jest dla nich dziś niczym. Mobilizują wszystko, żeby tylko ratować swoje istnienie, którego nie szanowali nigdy dokoła siebie, które zawsze deptali.

Mówił kiedyś u nich jeden z ich pisarzy, że w dziejach ludzkości przeszła „Güttedrämmerung — zmierzch bogów". Ten spisek doprowadził do tego, że na całym świecie, gdzie ich noga przeszła, nastąpiła Menschendämmerung — zmierzch człowieka. Dokoła nich i w ich własnej duszy.

Jest jeszcze jeden olbrzymi sens tego procesu. Różne bywają losy narodów, różne koleje przechodziło to miasto. Chcielibyśmy tym procesem statuować zasadę, że gdyby kiedykolwiek w tym mieście miał panować jakikolwiek gubernator, by w chwili, kiedy zostanie sam na sam ze sobą, kiedy w ciszy swoich zagrabionych salonów będzie wydawał rozkazy przeciwko miastu temu i jego ludności, żeby w koszmarnej wizji dniem i nocą widział cień szubienicy, którą gotuje takim gubernatorom Orzeł Polski. (Oklaski).

Jerzy Sawicki.

Jan Olechowski

ZA TAMTĄ GÓRĄ

Za tamtą górą — tamtą rzeką
Napewno rośnie bujny sad.
Nie trzeba tylko wierzyć brzegom,
Co okrążają bliski świat.

Bo przecież wiesz, jak niespodzianie
Nagle ci w piersi zadrży serce,
Gdy uśmiech czyjś, lub jedno zdanie
Poda ci ufne, mocne ręce.

Lub jakiś śpiew z nieznanej strony
Ciepłym otoczy cię ramieniem
I zakołysze drzewa, domy
Szczęściem bijącym jak natchnienie.

I wszystko jedno, czy to będzie
Dzień chmurny, słotny, czy radosny
Napewno kwiaty ujrzysz wszędzie
Co przedtem nigdy tu nie rosły.

Co krok, co krok uparte cienie
Wzywają nas za brzeg nieznany
Przez wszystkie klęski i nadzieje
Do jakiejś jednej złotej bramy.

Za tamtą górą, tamtą rzeką
Napewno rośnie bujny sad.
Najmilsza. Spójrz. To niedaleko
Chodźmy. Na wprost. Pod wiatr! Pod wiatr!...

ZAGADNIENIA I POGLĄDY

Jeden z czołowych publicystów katolickich, Jerzy Braun, ogłosił w „Tyg. Warszawskim" dwa zasadnicze artykuły, które nie powinny przejść bez echa.

Ostatnio omawialiśmy na tym miejscu pracę dr. Stommy p. t. „Maksymalne i minimalne tendencje społeczne katolików", drukowaną w „Znaku". Przypominamy o tym, ponieważ znajomość pracy Stommy ułatwia zrozumienie i ewentualną dyskusję z tezami Jerzego Brauna.

Stomma charakteryzuje dwie różne postawy katolików wobec współczesnych zagadnień społecznych. Wykładnikiem jednej jest postawa radykalnych grup katolików francuskich, odstępujących dziedzinę stosunków społecznych i gospodarczych marksistom, rezerwując wszystkie siły do walki o najistotniejsze wartości religii — wykładnikiem drugiej jest postawa katolików polskich, nie rezygnujących z własnych programów społeczno-gospodarczych. Postawę pierwszą określa dr. Stomma mianem społecznie minimalistycznej — drugą maksymalistycznej.

Jerzy Braun występuje w swoich artykułach jako czołowy przedstawiciel postawy społecznie maksymalistycznej. Omawiając artykuł Stommy, opowiedzieliśmy się przeciw koncepcjom francuskim — a tym samym zajęliśmy stanowisko po stronie maksymalistów, czyli po tej samej stronie co Jerzy Braun. A jedna.

Przypatrzmy się rozumowaniu Brauna.

Artykuł pod pięknym tytułem „Polityka a nieśmiertelność" rozpoczyna się analizą tych nurtów myśli katolickiej na Zachodzie Europy, które Stomma określił jako społecznie minimalistyczne. Braun widzi w nich pierwsze objawy „trzeciej schizmy" — schizmy tym groźniejszej od poprzednich, że wdarła się w samo serce cywilizacji chrześcijańskiej. Rozpoczyna się we Francji i we Włoszech. Jakie są powody tej schizmy?

Marksizm i katolicyzm to dwa samoistne światy, wyrosłe z odmiennych korzeni ideowych, filozoficznych i cywilizacyjnpch. Łączy je jednak to, co w popularnej terminologii nazywamy „radykalizmem społecznym". Katolicyzm integralny nigdy nie czuł się dobrze w sojuszu czy też w symbiozie z tzw. wstecznictwem, z interesem warstw posiadających, a także z szowinistycznym nacjonalizmem, cechującym prawicowe ruchy polityczne. Nosił on w sobie odwieczny postulat miłości bliźniego i sprawiedliwości społecznej, swą charias wobec słabych, upośledzonych i ubogich („Coście uczynili jednemu z tych najmniejszych, mnieście uczynili...."). Nurtowała w nim wizja spełnionej cywilizacji chrześcijańskiej, z której wywodzą się ostatecznie — jak twierdził Bierdiajew — także i współczesne ruchy społeczne o podłożu socjalistycznym („Nakazuję wam, abyście się społecznie miłowali..."). A przystępując do budowania takiej cywilizacji, stajemy — zdawałoby się — na jednej platformie z marksizmem. Stąd już jeden krok tylko do zarażenia się jego doktryną i programem szczegółowym, a potem i jego postawą polityczną.

Ujawniło się to ze szczególną wyrazistością dzisiaj, po II-giej Wojnie Światowej, gdy zawaliły się faszystowskie konstrukcje „nowego ładu" i pozostały obok siebie tylko dwie siły polityczne: demokracja liberalna i Związek Radziecki, zaś w plan e duchowym tylko dwie „ideologie": marksizm i chrystianizm. Te ostatnie znalazły się w stosunku do siebie w pozycji bardzo oryginalnej: światopoglądowo są one sobie przeciwne, a w płaszczyźnie reform społecznych głoszą niemal to samo. Tak powstał dylemat, z którego katolikom trudno dziś wybrnąć.

Pisze Jerzy Braun i przeprowadza linię demarkacyjną między katolickim i marksistowskim poglądem na świat. Wszelkie teorie marksistowskie, a więc i radykalizm, wypływają z kultu doczesności i mają jej służyć — wiara katolicka służy niezmiertelności. Inna jest też chrześcijańska idea sprawiedliwości. „Nie chodzi o materialny egalitaryzm, lecz o stworzenie warunków korzystnych dla urzeczywistnienia w sobie pełnego człowieczeństwa, t. j. wszechstronnego rozwoju duchowego". Mówiąc o katolickiej doktrynie społecznej, autor stwierdza:

„Niestety społeczne i polityczne ruchy katolickie — zarówno w Europie jak w Ameryce — są jeszcze w tej fazie, w której nie uświadomiły one sobie wyraźnie ani tej antynomii: doczesność — nieśmiertelność, która wyznacza ich stosunek do marksizmu, ani też nie wypracowały sobie jeszcze swej kardynalnej formuły sprawiedliwości społecznej, ze wszystkimi jej praktycznymi konsekwencjami. Przyczyna tego opóźnienia tkwi w tym, że są one — mimo odwieczności doktryny społecznej Kościoła — młodsze o pół wieku od ruchów socjalistycznych w historii politycznej Europy. Oderwały się one już od nacjonalistycznej, względnie faszyzującej prawicy, a także od kapitalistycznego demoliberalizmu, ale nie zbudowały jeszcze jasnego i sprecyzowanego w szczegółach katolickiego wzorca realizacyjnego, obejmującego wszystkie dziedziny życia zbiorowego. Stąd mglistość konturów, w jakich katoliccy intelektualiści i przywódcy partyj katolickich na Zachodzie widzą przyszły ład chrześcijański („instaurare omnia in Christo!,'), stąd też łatwość zacierania granicy w programie polityczno-socjalnym między tymi co idą za Chrystusem, a tymi co są przeciwko Niemu".

W związku z tym Braun widzi palącą potrzebę wypracowania ostatecznego wzorca realizacyjnego współczesnej doktryny katolicko-społecznej. Obowiązek ten spada przede wszystkim na katolików świeckich, a przede wszystkim na ośrodki intelektualne i ruchy społeczno-polityczne.

Głębokie uwagi o katolickim kreacjonizmie i wizjo-przyszłej cywilizacji chrześcijańskiej kończą ten piękny artykuł.

Odczuwając pewne wątpliwości co do słuszności ujęcia problemu trzech schizm, zasadniczo zgadzamy się z merytoryczną stroną poruszonych zagadnień. Uważamy za rzecz niezmiernej wagi nie tylko opracowanie wielkiej syntezy wzorca realizacyjnego katolickiej doktryny społeczno-gospodarczej, ale również walkę o jej realizację w aktualnej rzeczywistości. Nie rozumiemy natomiast przerzucania problemów merytorycznych na zagadnienie taktyki. Przytaczam zakończenie rozmyślań Jerzega Brauna:

„Byłby w błędzie, ktoby sądził, że politykę można oddzielić od tej celowości wyższej naszego istnienia — tak jak naiwne było mniemanie, że w konkurencji gospodarczej nie obowiązuje prawo moralne. Etyka jest tylko jedna i dwu prawd być nie może ani w niebie, ani na ziemi. Polityka jest to praktyczne kierownictwo ludzkości ku jej ostatecznym przeznaczeniom. Ta prawda, wczoraj jeszcze „mistyczna" czy „utopijna", dziś w epoce „atomowej" staje się straszliwie realna. I w konsekwencji tego nie można być odpowiedzialnym politykiem i przywódcą narodów, jeśli się nie rozumie, że cele aktualne polityki muszą być dostosowywane do celu najwyższego człowieczeństwa, którym jest Bóg — a poprzez zjednoczenie z Nim NIEŚMIERTELNOŚĆ".

Tutaj zaznacza się — niezrozumiałe dla nas — nieporozumienie. Praktyczne kierownictwo losami ludzkości spoczywa w tej chwili w ręku Stalina, który jest marksistą i Trumana, który jest schizmatykiem. Katolicy, a szczególnie polscy — bo przecie do tych p. Braun pisze — ani nie mogą mieć żadnego wpływu na decyzje zasadnicze, ani nie będą za skutki tych decyzji moralnie odpowiedzialni. Mogą natomiast i powinni mieś wpływ na losy własnego kraju.

„Dziś i Jutro" zawsze stało na stanowisku maksymalizmu społecznego i bezkompromisowej walki ideowej z marksistami. Ale równocześnie głosiliśmy i będziemy głosić konieczność współdziałania z marksistami wszędzie obiektywnie tam, gdzie wymaga tego polska racja stanu oraz poprawa warunków bytu proletariatu. Spraw takich, jak granice zachodnie, jak amnestia, odbudowa — jest wiele i w takich sprawach muszą katolicy współpracować. A to jest właśnie polityka. Tak się nazywa.

Znów musimy się powtarzać — co jest rzeczą nieprzyjemną — ale artykuł Jerzego Brauna merytorycznie słuszny i w intencjach szlachetny, może być przez niewyrobionych politycznie ludzi opacznie zrozumiany i w skutkach szkodliwy.

To samo nieporozumienie przewija się w artykule p. t. „Kontrola zysku a prawo własności". Jest to obrona znanych z dyskusji prasowych tez społeczno-gospodarczych, wysuniętych przez dr. Studentowicza. Jerzy Braun idzie tutaj dalej w radykaliźmie od współ-redaktora „Dziś i Jutro" Konstantego Łubieńskiego, który w swoim czasie odpowiadał Studentowiczowi. Równocześnie jednak Braun kończy swój artykuł równie mocnym akcentem anty-taktycznym, jak poprzedni:

„Na koniec poważne zastrzeżenie budzi teza Studentowicza o konieczności współpracy z marksizmem, o ile tylko wspólnym celem jest t. zw. społeczne wyzwolenie świata pracy. Jak bowiem katolicyzm radykalny, stojący na gruncie własności indywidualnej, ma współdziałać w reformach społecznych z marksizmem, dążącym do stopniowej likwidacji własności? I jak iść z nim w jednym szeregu w walce o wyzwolenie świata pracy, skoro w ustroju socjalistycznym pracy — zdaniem katolików — bynajmniej nie stanie się wolny, lecz przechodzi z „niewoli" u prywatnego kapitalisty w niewolę jeszcze bardziej despotycznego kapitalizmu państwowego?".

Autor, który w artykule „Polityka i Nieśmiertelność" przytacza zdanie ks. Piwowarczyka:

„Słusznie mówi ks. Piwowarczyk, że Kościół od zarania swych dziejów posiada swą własną doktrynę społeczną. „Źródło wszystkich „zgniłych kompromisów" chrześcijan z antychrześcijanami tkwi w nieuznawaniu tej prawdy, mianowicie w przekonaniu, że Kościół ma tylko dogmat religijny, a nie ma doktryny społecznej".

Z którym to zdaniem polemizował już u nas Dobraczyński — tu, broniąc atakowanego Studentowicza, stwierdza:

„Nie należy się lękać poszukiwania nowych wzorców organizacyjnych, bo właśnie ich brak spowodował ten smutny fakt, że katolicyzm został zepchnięty na margines życia historycznego ludzkości i to w epoce, w której walczy ona z determinacją i rozmachem iście fanatycznym o nowy kształt społeczny i polityczny świata. W rezultacie tego inne, antychrześcijańskie doktryny wysunęły się na czoło, dzierżąc ster państw i ruchów społecznych, a nawet zagarniając w swe sieci całe narody katolickie".

Jak się okazuje, można napisać dwa artykuły wysokiej klasy, ale merytorycznie słuszne, a równocześnie zająć dosyć sprzeczne stanowisko w sprawie tak istotnej, jak realna wartość społeczno-gospodarczej doktryny katolickiej. To może właśnie jest jedna taktyka Jerzego Brauna — wroga taktyki, który jednak nie chcąc źle mówić o chrześcijańskiej myśli społeczno-gospodarczej raz stwierdza, że istnieje ona od zarania dziejów, drugi, że jest późniejsza od socjalizmu o lat 50 i wreszcie trzeci, że wogóle nie istniała.

Jerzy Braun wie równie dobrze, jak my, że gdyby myśl chrześcijańska w porę przeczuła, w pierwszej połowie XIX w., koleje rozwojowe społeczno-gospodarcze ludzkości i gdyby z tych przeczuć zostały wyciągnięte wnioski — nie byłoby bziś potężnego marksizmu i nie byłoby problemu współpracy. Ponieważ jednak słuszne w tendencjach społecznych przeczucia i wnioski były udziałem nie katolików, lecz marksistów, dzisiaj miliony ludzi odpadły od kościoła i stworzyły szeregi wojującego marksizmu. Właśnie katolików trzeba obciążyć odpowiedzialnością za sam fakt istnienia marksizmu. Jak straszną odpowiedzialność biorą na siebie katolicy, głoszący tezy taktyczne, takie jak Braun — jak wielka ta odpowiedzialność jest szczególnie w Polsce.

dh.

Życie gospodarcze

Z ZAGADNIEŃ BIEŻĄCYCH

W wyniku reformy rolnej, nacjonalizacji przemysłu, przejęcia mienia poniemieckiego i t. zw. mienia opuszczonego, Państwo stało się właścicielem olbrzymiego majątku, stanowiącego nie tylko wielką wartość, lecz również składającego się z ogromnej ilości jednostek gospodarczych. W związku z powyższym wyłania się szereg zagadnień. Przede wszystkim zagadnienie, czy Państwo ma zatrzymać tę ogromną masę majątkową jako swoją własność i w swoim posiadaniu? Odnośnie majątków przejętych w trybie reformy rolnej i ustawy nacjonalizacyjnej istnieją postanowienia wyraźnie nakazujące czy to prywatyzację (parcelacja majątków ziemskich), czy to uspółdzielczenie. Również wydano, wzgl. projektuje się wydanie aktów prawnych, dozwalających na sprzedaż mienia poniemieckiego. Jednakże w praktyce akcja sprzedaży mienia państwowego odbywa się niezwykle wolno i napotyka na opory nie tylko natury technicznej. Wydaje się, że powodem tego stanu rzeczy jest niezrozumienie istoty nowego ustroju gospodarczego, a poza tym brak ustalenia wyraźnych zasad wykonania obowiązujących aktów prawnych, których ramy są dość szerokie i pozwalają na znaczne rozbieżności interpretacyjne. W rezultacie ogromna ilość jednostek gospodarczych pozostaje w rękach Państwa, które nie ma możliwości odpowiedniego administrowania w szczególności drobnymi obiektami, co w konsekwencji wywołuje procesy dekapitalizacyjne, zmniejszające majątek narodowy.

Akcja likwidacji części państwowej masy majątkowej winna być, naszym zdaniem, oparta na następujących założeniach:

1. Państwo zbywa całą tę część majątku, która nie stanowi t. zw. przemysłu kluczowego, przy czym przez przemysł kluczowy rozumie się tylko kopaliny i ciężki przemysł oraz tę część, która jest niezbędna dla wykonywania administracyjnych funkcyj Państwa.

2. Zbywana część majątku winna być zużyta na urzeczywistnienie postulatu jak najszybszego upowszechnienia własności, przy czym przez upowszechnienie należy uważać zarówno prywatyzację, jak i uspółdzielczenie.

3. Uspółdzielczenie winno objąć przede wszystkim przemysł i handel rolniczy, w celu zapewnienia rolnictwu w normalnych warunkach właściwego udziału w dochodzie społecznym.

4. Przedsiębiorstwa przemysłowe winny być zbywane przede wszystkim na rzecz nowej formy własności t. zw. akcjonariatów pracy, którą należałoby przewidzieć w nowej koncepcji ustawowej.

5. Większe nieruchomości miejskie winny być sprzedane spółdzielniom mieszkaniowym świata pracy, mniejsze osobom indywidualnym.

Następnym zagadnieniem jest sposób przeprowadzenia powyższej akcji. Wydaje się, że zachodzi bezwzględna konieczność, aby powstała jedna instytucja, która będzie kierować całość ą akcji, niezależnie od tego, z jakiej masy dany obiekt pochodzi i w czyjej znajduje się obecnie administracji. Jedynie w ten sposób będzie można zagwarantować oparcie całej akcji na jednolitych zasadach, jak również znaczn e ograniczyć możliwości nadużyć. Z uwagi na bardzo istotne w niniejszej akcji aspekty finansowe instytucja powyższa winna być ściśle powiązana z Ministerstwem Skarbu.

W końcu niezwykle palącym staje się zagadnienie inwentaryzacji majątku państwowego, co pozwoliłoby na sporządzanie bilansu całego sektora państwowego i w ten sposób umożliwiłoby przeprowadzenie właściwej oceny wyników gospodarki Państwa. **(t)**

Udzielam nauki śpiewu opartej na ostatnich zdobyczach badań i metodach pedagogiki.

Zgłaszać się można
MICKIEWICZA 27 m. 95

KWITUJEMY WYPŁATY

na fundusz prasowy „DZIŚ i JUTRO"

Bezimiennie	1000.—
Ks. S. S.	500.—

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych czytelników na wszelkie zagadnienia życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego. Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwę miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

Polskim dzieciom dzieje się krzywda!

Ostra zima przyniosła ze sobą wiele zamieszania w życiu gospodarczym Europy. Brak węgla spowodował nawet w Anglii unieruchomienie na pewien okres czasu niektórych gałęzi produkcji przemysłowej. W Polsce, poza ograniczeniami ilości pociągów, nie nastąpił zastój w produkcji materialnej. Węgla mamy pod dostatkiem. Tym dziwniejszy i bardziej bolesny jest fakt, że jednak tego węgla zabrakło dla polskich dzieci i z powodu braku opału od szeregu tygodni w niektórych szkołach naszego powiatu nauki niema. A przecież na wolnym rynku węgiel jest, przy tym powiat Wadowicki sąsiaduje z Zagłębiem Krakowskim.

Wina leży napewno nie po stronie Inspektoratu Szkolnego — winne są te czynniki, które decydują o zaopatrzeniu w opał. Tyle strat poniosły dzieci polskie na naszych terenach w czasie okupacji niemieckiej i naprawdę wstyd mnie dziś ogarnia, gdy pomyślę, że te same dzieci nie mają nauki szkolnej w Wolnej Polsce, bo zabrakło... węgla! (Cur?)

DO REDAKCJI TYG. „DZIŚ I JUTRO"

„Dziennik Polski" z dnia 6.II Nr 36 donosi: Patriotyzm górników w Libiążu.

Na wezwanie partii PPS i PPR zgodziła się załoga kopalni „Janina" w Libiążu pracować bezpłatnie w niedzielę 2 b. m., celem zamanifestowania radości z powodu zwycięstwa Bloku Stronnictw Demokratycznych jak też i dlatego, by tym dodatkowym wydobyciem węgla przyczynić się do wykonania planu państwowego. W wyniku wydobyto w niedzielę na kopalni „Janina" 470 ton węgla.

Wierzymy, że każdy objaw czynnego patriotyzmu jest godnym uznania. Ale czy nie za wiele poświęcenia żąda się od ludzi ciężkiej pracy, jaką jest praca górnika, przy tym gwałci się dzień świąteczny tymbardziej, że ta praca odbywała się w niedzielę i święto Matki Bożej Gromnicznej. Czy w niedzielę nie wolno pracować? Owszem — tak: zatrudnionym przy kolei, przy piecach, które nie mogą wygasnąć (na zmianę), podczas pilnych żniw, ale po nabożeństwie, i jeszcze w niektórych zawodach. Przykry i wstrętny był przymus pracy w niedziele i święta przez okupanta, i jeżeli nie zachodzi konieczna potrzeba, powinno się tego unikać. Jesteśmy narodem katolickim, a dzień świąteczny jest dniem modlitwy i spoczynku. Chodzi jeszcze o ważną rzecz, żeby nie tworzyć precedensu.

Tomasz Sowieński

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

Z zainteresowaniem przeczytałem wiadomości p. Danuty Dobraczyńskiej o szkole tańca Tatjany Wysockiej („Dziś i Jutro" Nr 6 z 9.2 b. r.). Sztuką tańca, czy t. zw. tańcem artystycznym zawsze się interesowałem i kilkakrotnie pisałem na ten temat.

Jeżeli więc mówimy o tej sztuce, przez duże „S", to pozwolę sobie zauważyć, że przed wojną szkoła i popisy uczennic T. Wysockiej nie mogły być zaliczone do rzędu tych, które stoją na właściwym poziomie artystycznym. Kiedyś Wysocka może miała takie ambicje, ostatnimi jednak przedwojennymi czasy — ambicje te, niestety, utraciła. Stała się szkołą tancerek rewiowych i girls'w. Można mieć poważne zastrzeżenie, co do „ustalonej opinii (tego baletu), jako jednego z najlepszych tego typu", a — wiemy dobrze, że nie zawsze poziom odgrywał główną rolę na „wyjazdy zagranicę" i „powodzenie w kraju".

Powodzenie nie jest miarą wartości. Bardzo wielkie ma znaczenie krytyka. Niestety wiemy, że — jeżeli chodzi o sztukę tańca — prasa warszawska miała przed wojną tylko jednego „speca", który i to nie całkowimie odpowiadał zadaniu.

Mimo to z wielkim zadowoleniem czyta się o odrodzeniu tej szkoły, obecnie chyba jedynej w Polsce i wraz z p. Danutą Dobraczyńską „należy życzyć jak najlepszego rozwoju".

U nas są wielkie możliwości ku temu. Tylko należy uświadomić publiczność, że taniec artystyczny nie wolno uważać za sztukę niższego gatunku.

A. O. — Wrocław

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

Kochany bracia!

Jusz rok temu jak wruciłem z naszej drogiej Polski, gdzie mi się bardzo podobało i hcę, że by na zawsze móg spółpracować z swojim drogim braczmi Polakamy.

Oto proszę jak naj pszędzie możliwe wisłacz od numeru 1 i dalej każdego tygodnia „Dziz i Jutro" do mnie w Jugosławię.

Do teraz odtrzimuję „Rycerza" jednak chcę też tygodnik „Dziś i Jutro". Wszetsko zapłaczi.

Napszód dziękuję
Antun Dijaković
Vucani 40. p. Cazma
Hrvatska — JUGOSŁAWIA.

DO REDAKCJI „DZIŚ i JUTRO"

Tyg. Warszawski z 16.II 1947 r. umieścił artykuł p. t. Polityka a nieśmiertelność, napisany przez Jerzego Brauna, który mnie sprowokował do chwycenia za pióro.

J. Braum: „Pierwsza schizma zwana potocznie „schizmą wschodnią". Ja: Nie tylko potocznie, lecz naukowo w dziełach historycznych zwie się ona schizmą wschodnią. J. Braun: potępiona została na Soborze Nicejskim (ta schizma wschodnia). Ja: Fałsz. Pierwszy sobór nicejski 325 r. zajmował się herezją ariańską, drugi zaś 787 r. — obrazoburstwem. Schizma zaś wschodnia (bez cudzysłowu) była rozpatrywana na soborze konstantynopolskim 869—870 r. J. Braun: Geneza jej (sch. wsch.) tkwiła w błędnym zastosowaniu idej spekulatywnych filozofii greckiej do prawd objawionych. Ja: Schizma wsch. powstała raczej na tle ciągłej rywalizacji Konstantynopola z Rzymem o pierwszeństwo i w osobistych cechach Focjusza, a potem Cerulariusza. J. Braun mówi dalej o herezji Lutra i nazywa ją schizmą zachodnią: Ja: nie trzeba mieszać wyrazów, które co innego oznaczają.

Po takim wstępie historycznym o 2-ch schizmach, J. Braun zapowiada trzecią. Mianowicie: katolicy radykalni dążą do przejęcia od marksystów ich ustroju społeczno - gospodarczego, a ponieważ jaki ustrój społ.-gosp. taka i ideologia filozoficzna; a więc: katolicy radyk., przejąwszy od marks. ustrój społ.-gosp., muszą też przejąć i ich ideologię filozoficzną. Dokonają trzeciej „schizmy wschodnio-zachodniej". J. Braun nazywa ją też „apostazją ideologiczną" (a czy jest nieideologiczna?). Katolicyzm (tak Braun) nie czuł się dobrze w towarzystwie faszyzmu. Jednak (tak ja) zawarł kościół rozmaite układy z faszyzmem.

Parę słów Braunowi o tej „trzeciej schizmie".

Ustroje społ.-gospod.; nie są celem same w sobie, lecz środkiem do celu. Cel: dobrobyt wszystkich ludzi, zapewniający im beztroskie życie i wszechstronny rozwój. Aby go osiągnąć, trzeba dużo wytwarzać i sprawiedliwie dzielić. Takie jest zadanie dobrego ustroju społ.-gosp. Jestli ten cel nieodpowiedni dla chrześcijanina? Czy chrześcijaństwo jest przeciwne dobrobytowi i rozwojowi człowieka? Czy Kościół ma obecnie jakiś ustrój sp.-gosp., który propaguje jako monopolistyczny dla katolika? Nie słyszałem o tym. Encykliki Leona XIII i późniejsze z tej dziedziny mają przecież. na oku tylko przestrzeganie moralności chrześc. w panującym wówczas ustroju, który popierało wielu katolików. Ale skoro ustrój się zmienia lub zmienił już i wielu katolików też go popiera, mamyż wracać do poprzedniego ustroju, tylko dlatego, że o nim są encykliki? Czy encykliki te w sprawach ustroju społ.-gosp. zawierają dogmaty wiary? Przecież Kościół jest nieomylny tylko w sprawach wiary i moralności w orzeczeniach ex cathedra i tylko w sprawach dogmatu wymaga posłuchu od wiernych. Czy miał Kościół w ciągu 2 tysięcy lat swą doktrynę społ.-gosp.? Kiedy: w czasach niewolnictwa, feodalizmu, pańszczyzny czy leseferyzmu? Kościołowi chodziło zawsze jedynie o to, by zasady swej moralności włożyć w każdorazowy ustrój. Ale poszczególni katolicy mogli opowiadać się za tym lub innym ustrojem. Weźmy tu Tomasza Morusa, czy redukcje paragwajskie jezuitów, czy Windhorstwa, czy Salazara. I żaden z nich nie był za to kościelnie karany. Tak jest i dziś. A kto twierdzi inaczej jest podobny pod pewnym względem do Galileo Galilei, który swoją teorię astronomiczną chciał udowodnić Biblią.

Czesław Wypior.

AUTOREKLAMA...

„PAŃSTWO POZWOLĄ SOBIE PRZEDSTAWIĆ...

Słynny ze swych zakulisowych, doskonałych informacji tygodnik amerykański „Time" zainteresował się mocno nowym dziennikiem, mającym ukazać się w Warszawie pod nazwą „Słowo Powszechne". Korespondentowi nowojorskiemu „Dziś i Jutro" udało się widzieć odbitki próbnego egzepmlarza jednego z najbliższych numerów tego światowego pisma, w którm, pod tytułem: „Państwo pozwolą sobie przedstawić" reprezentuje ono zespół redakcyjny „Słowa Powszechnego" obu Amerykom i Zachodniej Europie. Całe dwie czołowe strony tego numeru zapełnione są fotografiami członków redakcji „Słowa". Pod zdjęciami znajdują się lakoniczne, znakomite w swej związłości, tak typowej dla „Time'u", teksty, charakteryzujące poszczególne postacie. Charakterystyki, nie wszystkie wprawdzie, przytaczamy poniżej w całości:

REDAKTOR NACZELNY WOJCIECH KĘTRZYŃSKI:

Wysoki, opanowany gentleman w nieokreślonym wieku. Bogata przeszłość konspiracyjna. Wykształcenie — historyk. Słaba strona — XVII-ty wiek. Mocna strona — margrabia Wielopolski. Pewną ręką prowadzi zespół redakcyjny „Słowa Powszechnego" ku lepszej, pełnej chwały przyszłości.

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO WITOLD BIEŃKOWSKI Esq. M. P. (member of parliament — poseł do Sejmu Ustawodawczego — wolny przekł. tłum.).

Jasnowłosy, zawsze uśmiechnięty trybun i teoretyk. Mało znany, trudno dostępny z powodu różnych tajemnych dróg, których tajemniczością otacza się chętnie ku niezadowoleniu przyjaciół i interesantów. Po tych interesujących danych miłe zdziwienie wzbudzi fakt, że red. pos. Bieńkowski reprezentuje w zespole „Słowa" czynnik uświadomienia ideologicznego, a co za tym idzie — poważną pracę w zbożnym skupieniu.

REDAKTOR EDWARD BURY E. D. („Editorial Director" — kierownik redakcji — przytaczamy odpowiedni termin angielski, jakim „Time" określił funkcje red. Burego).

Szczupły pan średniego wzrostu, schludnie, starannie odziany, o nerwowych ruchach. Oczy patrzą bystro spoza ogromnych okularów. Wieloletni „press-speciman", świetny fachowiec od wszelkiej informacji i propagandy (radio, prasa, „Danuta")' Zwraca się uwagę, że „Bury" nie jest pseudonimem konspiracyjnym, lecz prawdziwym nazwiskiem.

REDAKTOR MIECZYSŁAW MARKOWSKI — funkcja jeszcze ciągle nieokreślona.

Reprezentuje w piśmie czynnik ogólnopolski (pochodzi z Lublina, a przebywa we Wrocławiu — kiedyż, ach kiedyż przyjedzie!) Twarz pobrużdżona, usta mocno zarysowane znamionują wolę i bezkompromisowość w działaniu. Napewno będzie opoką pisma, o którą rozbija się ataki wszystkich niechętnych (o ile się znajdą).

DYREKTOR CZESŁAW KRASOWSKI C. M. D. („Chief Managing Director" — naczelny dyrektor od przedsiębiorstwa— wolny przekł. tłum. Podajemy nomenklaturę amerykańską za „Time").

Pod zdjęciem dobrodusznego, jowialnego, acz niepozbawionego swoistej mocy charakteru oblicza dyrektora Krasowskiego figuruje lakoniczne: „Bussiness as usual" — interes, jak zwykle. Dla szefa administracji nowego dziennika ważne są słowa, nie powszechne, lecz całkiem konkretne, jak: saldo dodatnie, bilans, zysk, konto, kredyt i rozkwit przedsiębiorstwa. Obecność tej silnej indywidualności (lekkie skłonności do piłki nożnej) w zespole pozwala wszystkim ufniej patrzeć w przyszłość.

REDAKTOR KULTURALNY I OD SZTUKI P. JANUSZ KAWECKI.

„The heroic figmter of Penelopa. battle" — bohaterski bojownik w bitwie o „Penelopę". Znakomity krytyk teatralny i felietonista. Polski Boni de Castellano, wytworny, cięty, dowcipny, o rasowej twarzy, zdobnej w uroczo-sarkastyczny uśmiech i nieznaczny wąsik. Zdecydowana predylekcja do oryginalności ubiorów.

Tyle „Time" o Kaweckim. Jak z powyższych danych wynika wieść o heroicznych zmaganiach red. Janusza Kaweckiego z dyr. Szyfmanem dotarła już do USA, budząc tam zrozumiałą sensację.

REDAKTOR ZAGRANICZNY („Foreign News") JAN MEYSZTOWICZ.

Dyplomata, oficer, dziennikarz, miesz. kaniec Irlandii, sportsman, polyglota, uczestnik bitwy pod Narvikiem, nowelista, gentleman, przemiły causeur. Wysoki, szczupły, o cienkich rysach i śmiejących się oczach. Jedna z najbarwniejszych postaci w „Słowie", Warszawie i całym polskim dziennikarstwie. Nosi z wdziękiem garnitury, szyte przez krawca-poetę (rzecz jasna, zagranicą), uśmiecha się z wdziękiem i z wdziękiem opiera się o laskę.

REDAKTOR MIEJSKI ANTONI KOBYŁECKI.

„Big boy — charming boy'. Wysoki, barczysty, mocno zbudowany, młody człowiek systemu: amerykański gwiazdor filmowy. Bardzo przystojny. Jako redaktor działu miejskiego, który zawiera w sobie t. zw. „kryminał" — kronikę wypadków i przestępstw, przysporzy z pewnością wiele dobrego „Słowu". Ma szerokie ramiona i potrafi z pewnością wychodzić obronną ręką z najbardziej niemiłych sytuacji w stylu — detektywistyczno-powieściowym. Gwarantuje to gazecie ciekawy materiał i wiadomości z pierwszej ręki.

REDAKTOR SPORTOWY...

Leopold Tyrmand

Z KSIĄŻEK

PAŃSTWOWE ZAKŁADY WYDAWNICTW SZKOLNYCH, WARSZAWA.

Zbyszko Bednorz: OD OPOLA DO WROCŁAWIA, Biblioteka Popularno-Naukowa: Seria: Ziemie Odzyskane, str. 55, r. 1946, cena zł. 38.

August Maksymilian Grabowski: PODRÓŻ DO PRUS (1844), opracowanie — Krystyna Pieradzka, Biblioteka Popularno-Naukowa. Seria: Ziemie Odzyskane, str. 43, r. 1946, cena 35 zł.

Leszek Gustowski: POLSKA A POMORZE ODRZAŃSKIE, zarys historyczny. Biblioteka Popularno-Naukowa. Seria: Ziemie Odzyskane-, str. 148, r. 1946, cena 125 zł.

TOWARZYSTWO NAUKOWE K. U. L., LUBLIN, AL. RACŁAWICKIE 14.

Stefan Kawyn: TWÓRCZOŚĆ NAUKOWA JULIUSZA KLEINERA, str. 24, r. 1946.

Mieczysław St. Popławski: MUZEUM czyli KRÓLEWSKIE TOWARZYSTWO NAUK I LITERATURY W ALEKSANDRII, str. 56, r. 1946.

Ks. Dr. Zdzisław Goliński: PRYMAT WARTOŚCI MORALNYCH, str. 24, r. 1947.

Ks. Adolf Tymczak: PIERWIASTEK RELIGIJNY I NARODOWY W PSALMACH, str. 25, r. 1947.

Ks. Stanisław Styś T. J.: BIBLIJNE UJĘCIE STWORZENIA ŚWIATA WOBEC NAUKI, str. 30, r. 1947.

Juliusz Kleiner: PROBLEMATY IMPROWIZACJI KONRADA, rozdział drugiego tomu monografii o Mickiewiczu, str. 41, r. 1947.

Jan Reychman: Z DZIEJÓW ZWIĄZKÓW KOŚCIELNYCH WĘGIERSKO - POLSKICH, nadbitka, wydawnictwo „Nasza Przeszłość", Kraków r. 1946.

Już wkrótce ukaże się „SŁOWO POWSZECHNE"

Redagują: Jan Dobraczyński, Bolesław Piasecki. Wydawca: Kolegium redakcyjne.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81 m 17, tel. 880-71. Konto P. K. O. — Nr I—727. Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i sobót, godz. 12.30— 13.30.

Prenumerata miesięczna 40 złotych. Kwartalna 120 złotych.

Złżono w Zakł. Graf. „Dźwignia", Widok 24. B.30008 Odbito w drukarni „Czytelnik" Nr 2, Marszałkowska 3/5.